



OKOŁO FIKCJI

ANTOLOGIA

Okolo fikcji

Antologia opowiadań pod redakcją
Anny Szumacher i Tomasza Kozłowskiego

Około fikcji © 2018 Fundacja Atelier Improwizacji

Prawa autorskie do poszczególnych utworów należą do ich autorów.

Okładka:

Michał Bończyk

Ilustracje:

Katarzyna Bartuzel

Redakcja:

Anna Szumacher

Tomasz Kozłowski

Skład i łamanie:

Jakub Stasiak

Wydawca:

Fundacja Atelier Improwizacji

Witolda Wandurskiego 5/14

93-218 Łódź

ISBN druk 978-83-950726-0-4

ISBN EPUB 978-83-950726-2-8

ISBN PDF 978-83-950726-1-1

Antologia może być dystrybuowana wyłącznie nieodpłatnie, w całości i w niezmienionej formie.

Spis treści

Wstęp.....	1
Ewa Psuty – Orion, antybohater na słuchawach.....	5
Michał Bończyk – Zima	31
Tomasz Kulik – Bynbyn Benc.....	43
Anna Karnicka – Dzień dla wielorybnika.....	61
Jakub Stasiak – Fabryka	79
Magdalena Piniak – Blok	101
Tomasz Kozłowski – Czas podróży.....	111
Piotr Walewski-Sawicki – Bogini	123
O wydawcy.....	133

Wstęp

Kiedy w październiku 2017 roku zaczynaliśmy warsztaty literackie nie mieliśmy pojęcia, czy tego typu projekt ma jakiegokolwiek szanse na sukces. Wprawdzie w Łodzi przez wiele lat funkcjonowały różnego rodzaju zajęcia z pogranicza *creative writing*, ale miały albo charakter czysto akademicki, albo były jednorazowymi wydarzeniami organizowanymi przy okazji któregoś z wielu łódzkich festiwali kulturalnych. Brakowało czegoś o charakterze fanowskim – tworzonego przez ludzi zainteresowanych literaturą, niekoniecznie zajmujących się tym zawodowo, natomiast mających doświadczenie w tej dziedzinie.

Pomysł chodził za nami i przypominał o swoim istnieniu jakieś dwa lata, zanim w końcu udało się znaleźć siły i czas, żeby go zrealizować. Ponieważ to były pierwsze nasze zajęcia tego typu, dodatkowo większość uczestników również nie brała udziału w bardziej zorganizowanych warsztatach literackich, wyruszyliśmy na wyprawę w nieznane. Przez długie miesiące rozmawialiśmy o podstawach literatury. O przeznaczeniu i funkcjach postaci, dialogów, strukturze tekstu, gatunkach literackich. Czytaliśmy fragmenty dzieł znanych autorów, żeby zastanowić się dlaczego są tak dobre, albo co właściwie jest z nimi nie tak. Wreszcie tworzyliśmy i omawialiśmy własne teksty – począwszy od prostych fragmentów, obejmujących jedno zagadnienie, aż do fabularnych całości.

Czy nam się udało? Rezultaty naszej pracy możecie

zobaczyć w tej antologii. Zebraliśmy w niej opowiadania autorów o bardzo różnym doświadczeniu – mamy tutaj absolutnych debiutantów, mamy też Anię Karnicką, która opublikowała już dwie powieści. Tekstów nie łączy żaden motyw przewodni ani tematyka – wszystkie są rezultatem pracy podczas warsztatów i stopniowego poprawiania własnych umiejętności. Chcieliśmy, żeby ta antologia była też zapisem określonego momentu w czasie, znacznikiem przyszłych postępów i pokazania od czego właściwie się to zaczęło.

Mamy nadzieję, drogi czytelniku, że efekt naszej pracy będzie ciekawy również i dla ciebie. Że znajdziesz przyjemność w poznaniu tego, co stworzyliśmy. O niektórych nazwiskach może być jeszcze głośno – czego życzymy sobie i wam.

Oczywiście antologia nie powstałaby bez pokaźnych roboczogodzin wielu osób. Pragniemy podziękować wszystkim naszym autorom oraz:

Michałowi Bończykowi za okładkę;

Jakubowi Stasiakowi za finalny skład materiału;

Katarzynie Bartuzel za ilustracje (więcej stworzonych przez nią prac można obejrzeć pod adresem facebook.com/KBartuzel)

Janowi Rożewskiemu za to, że książka jest dostępna na papierze;

Michałowi Plaskurze, Marcinowi Panasiukowi i Klaudii Sowiak – regularnym uczestnikom warsztatów, którzy nie zdecydowali się opublikować swoich tekstów;

Ekipie Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki za inspirację i udowodnienie, że się da;

Ekipie czasopisma „Silmaris” za nieocenioną pomoc przy redakcji tekstu;

a także sobie nawzajem za to, że tyle z tym wytrzymałszy (i ze sobą), a co gorsza szykujemy się na więcej!

Bon Appetit!

Anna Szumacher i Tomasz Kozłowski

Ewa Psuty

Orion, antybohater na słuchawach



EWA PSUTY – Jest z wykształcenia germanistką, z zawodu korposzczurzą, z zamiłowania tancerką orientálną. Czyta książki popularnonaukowe, ale nie stroni od literatury pięknej i beletrystyki. Jej ulubieni autorzy to Adam Mickiewicz i Terry Pratchett. Poza tym lubi romanse i sci-fi.

„Orion” jest pracownikiem pierwszego międzygalaktycznego helpdesku, ale osobiście wolałby cały dzień wciągać zyzm.

Mama zawsze powtarzała, że prawdziwą szkołę życia przechodzi się w wojsku lub na zmywaku. Dlatego Orion nie podjął się żadnej z tych szlachetnych profesji i został drobnym przestępcą. Przez wiele lat lubił to, co robił. Nie osiągnął spektakularnych zysków, nie był to tak zwany stały zarobek, ale pozwalał dotrwać do kolejnej butelki zimnej sivaszki. A ten trunek płynął w żyłach Oriona szybciej niż krew.

Jednak z biegiem lat, kiedy palce przestawały być dość zwinne, a pięść zrobiła się zbyt poharatana, przerzucił się na paserstwo i handel nielegalnym towarem.

Czterdziestoletni przestępca, paser i przemytnik przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. W rewanżu łypał na niego wesoły jednorożec na tle tęczy, wytatuowany na klatce piersiowej. Orion nie był umięśniony, raczej żyłasty i poturbowany przez życie.

I właśnie niechęć do kolejnych zmagania z życiem zaprowadziła go do obecnej pracy. Na słuchawie. W pierwszym międzygalaktycznym helpdesku. Założonym przez genialną arystokratkę, potomkinię rodu Ayubów i B'torów, pod patronatem Zakonu. Orion z pogardą splunął w odbicie.

Mógłby dziś odpowiedzieć mamie, że prawdziwą szkołę życia przechodzi się na słuchawkach.

Jego partner – Dawid – wstał już o piątej nad ranem i powlókł się do pracy. Orion miał zmianę na dziewiątą. Wciągnął na siebie w miarę czystą bieliznę, założył

jedyne przyzwoite spodnie jakie posiadał i zarzucił na ramiona stary, wyświechtany płaszcz. Nigdy nie zakładał koszul, dumnie pokazując wszystkim tatuaż.

Wyszedł ze śmierdzącej nory nazywanej przez Dawida ich domem. Zajmowali trzy izby dziewięć pięter pod ziemią, w dzielnicy Kotłownia. Cała Sivucha, planeta na której mieszkali, była kiedyś kopalnią i większość życia toczyła się pod ziemią. Pogoda na powierzchni nie sprzyjała spacerom na świeżym powietrzu. Wiecznie padał deszcz, grad lub śnieg. Dlatego większość Sivuchczyków mieszkała pod ziemią, w szybach kopalnianych, w tunelach czy w dawnych pomieszczeniach gospodarczych. Orion nie pamiętał, kiedy ostatnim razem udał się na powierzchnię. Pewnie i tak był wtedy pijany.

Doszedł do starej windy towarowej. Dojeżdżał nią do głównej stacji kolejki kopalnianej, skąd szedł do siedziby helpdesku. Liny windy jęczały z każdym ruchem kabiny. Wrota były zardzewiałe i przez szczelinę między nimi a podłogą ziała otchłań szybu windowego. Wnętrze było na tyle szerokie, że mieścił się tam pasterz ze stadem kóz lub kurier z pół tuzinem osłów. Przy odrobinie dobrej woli, oczywiście. Akurat obie te grupy zawodowe chciały wsiąść razem z Orionem. Zwierzęta śmierdziały gorzej niż jego mieszkanie, więc mężczyzna zrezygnował z podróży. Przepuścił ich i czekał na następny transport. Wszyscy i tak się nie zmieszczą.

Aby zabić czas, przyglądał się napiętym linom widocznym przez zardzewiałą siatkę zabezpieczającą szyb. Mimo ich wieku nadal służyły i niemożliwe było je zerwać. Wiedział o tym doskonale, ponieważ w młodości

próbował to zrobić. Wymyślił wtedy coś innego. Odkrył, że w maszynowni są takie wielkie przyciski, samoistnie kłapiące, kiedy winda się porusza. Jeżeli się przy nich pomajstruje można sprawić, że na przykład drzwi się nie będą otwierać. Orion uśmiechnął się na wspomnienie swojego niewinnego żartu.

Ku jego niezadowoleniu znów ustawiła się kolejka złożona z ludzi i zwierząt. Jedna z kóz miała wyraźnie problemy z pęcherzem, bo co chwila przysiadła tworząc małe kałuże. Zniecierpliwiony Orion udał się do najbliższego tunelu prowadzącego poziom wyżej. W kieszeni płaszcza poszukał płóciennej chustki. Nie miał ochoty ani iść osiem pięter w górę, ani jechać z kolejną cuchnącą zgrają. Jeżeli jednak uda mu się otworzyć wrota windy, kiedy kabina będzie pod nimi, wskoczy na dach i dojedzie w spokoju na samą górę. Chustka była mu potrzebna do ominięcia starodawnych zabezpieczeń. Wystarczyło lekko uchylić jedno ze skrzydeł drzwi, przecisnąć chustkę i pociągnąć, kiedy akurat kabina nie będzie się poruszać, a wrota bardzo łatwo dadzą się otworzyć na szerokość człowieka.

Odkrył to już lata temu. Przez przypadek. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

Kiedy winda minęła jego piętro i zatrzymała się na samym dole, wskoczył na metalową platformę. Przycupnął obok wielkiego koła, przez które przeciągnięta była zardzewiała, stalowa lina. Odprężył się. Gdzieś w połowie drogi minął go wielki balast. Zauważył, że jedna z podtrzymujących lin była zerwana.

Zbliżając się do wrót helpdesku z oddali widział stojące przed nimi dwie sylwetki. Przywitał się z Mercedes i Muj-Pataką. Mercedes paliła fajkę. Powoli pykała dymek po dymku patrząc tępo w dal. Przed nią rozpościerał się szeroki tunel wydrążony w brunatnej skale. Oświeślały go przyćmione lampy elektryczne, w niektórych miejscach zastąpione zwykłymi pochodniami. Pancerne drzwi przenosiły stłumione krzyki z pomieszczenia za nimi. Muj-Pataka wyrzucił wypalonego papierosa, zgniótł go butem i wyciągnął nowego.

– Nie musisz tam wracać? – zagadnął Orion. Uśmiechnął się krzywo i kolega odpowiedział mu tym samym.

– Nie mam ochoty. Znowu coś się rozjechało i jest masakra. Możesz tam wejść, jeśli brakuje ci wrażeń.

Orionowi nie brakowało, więc postał i pogawędził. Niestety rozmawiali głównie o pracy. O tym, jak jej nie-nawidzą.

Za stalowymi, ciężkimi wrotami helpdesku trwało piekło. Wszyscy krzyczeli. Do słuchawek telefonów i do siebie nawzajem. Dźwięk dzwonek oznajmiających przychodzące rozmowy bezskutecznie próbował zagłuszyć wyjąca syrenę. Nad głowami pracowników wściekle migotała czerwona lampa. Oznaczała, że ktoś czeka na połączenie dłużej niż cztery minuty. Potrafiła świecić cały dzień. Na ścianie wyświetlało się hasło motywacyjne na dziś:

„Jeden krok może zaprowadzić cię do lepszego jutra”.

Orion od razu zauważył Iwonę stojącą na schodkach

prowadzących do jej gabinetu. Wrzeszczała na całe gardło:

– Dostępność!

Matko, jak on nią gardził. Przeszedł obojętnie do stanowiska pracy. Poklepał Dawida po ramieniu. Ten wyciszył połączenie i odjął słuchawkę od ucha.

– Cześć – przywitał go. – Znowu się w pałacu nie działa.

Orion opadł ciężko na krzesło i podłączył telefon. Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, urządzenie zaczęło natarczywie dzwonić.

– Helpdesk – mruknął beznamytnie do słuchawki.

– I co?! Co już zrobiliście?! – odezwał się agresywnie jego rozmówca.

Orion potoczył spojrzeniem po sali. Nie miał pojęcia czy coś zrobili. Właściwie nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Tak, tak, nasi najlepsi specjaliści już nad tym pracują. – Odłożył słuchawkę i odebrał nowy telefon.

– Helpdesk.

– Dzień dobry, moje nazwisko Katak. Dzwoniłem przed chwilą w sprawie toster. Nie działa.

Orion podrapał się w głowę. Dawid szturchnął go w bok.

– Stary, muszę iść do kibla – wyszeptał.

– To zapal lampkę.

Obowiązywała zasada, że nie można samowolnie opuścić stanowiska pracy bez zgody przełożonego. Jeżeli chciało się na przykład iść do toalety, trzeba było zapalić lampę na biurku i czekać na zgodę lub na pomoc któregoś z kolegów. Aktualnie wolny pracownik mógł pod-

nieść telefon za potrzebującego. Ewentualnie liderka bądź menedżer mogli zgodzić się na opuszczenie stanowiska, o ile nie wisiało za dużo telefonów. Czyli nigdy. Dlatego większość pracowników ignorowało ten nakaz i chodzili do toalety, kiedy tego potrzebowali. Mieli później na ten temat pogadanki z Iwoną, ale przecież nikt nie może powstrzymywać natury!

Jedynie Dawid pilnował się tego nakazu.

– Co? – Pogromca tosteru usłyszał radę Oriona. – Po co mam zapalać lampkę?

– To nie do pana. Proszę mi opowiedzieć, co się stało.

Dawid wcisnął włącznik lampki i rozejrzał się bezradnie po sali. Wszyscy byli zajęci i nikt nie mógł przejąć jego rozmowy. Iwona biegała między stanowiskami udzielając agentom drobnych porad. Była cała czerwona. Orion mógł przysiąc, że czuje zapach jej potu, chociaż było to niemożliwe. Jako arystokratka skraplała się pewnie najdroższymi perfumami. Zerknął w okna gabinetu. W szybie zamajaczyła mu postać menedżera – ojca Milijcjusza z Jedynego Słusznego Zakonu Jedynego Słusznego Pana. Menedżer, w przeciwieństwie do liderki, rzadko przechadzał się po sali i nigdy nikomu nie pomagał.

Orion splunął i wysłuchiwał dalej historii życia właściciela tosteru. Wiedział już, że ma dwójkę dzieci, bliźniaków, że pracuje na budowie i że od rana mu się śpieszyło.

– ...i wtedy przez przypadek wylałem kubek kawy na toster – wyrwało mu się w pewnym momencie.

Bingo, pomyślał agent helpdesku. Poradził klientowi kupić nowy, ale tamten tylko się oburzył:

– To samo już mówiła mi pańska koleżanka! Jeżeli tak macie zamiar działać to nic nie uda wam się naprawić! Do widzenia!

Rzucił słuchawkę. Nic dziwnego, że był poirytowany. Klienci płacili za każdą rozmowę. Dziwne, że niektórzy dzwoniли po parę razy, chociaż już dostali rozwiązanie.

– Kochanie, już nie wytrzymam – jęknął Dawid, kiedy zobaczył, że Orion sięga po kolejny telefon.

W takim razie Orion tylko trzasnął słuchawkę i odebrał telefon za Dawida. Ten poderwał się z miejsca i biegiem ruszył w stronę toalet. Niestety, nie uszło to uwadze Iwony. Zbliżyła się do pracownika:

– Widziałam, co zrobiłeś. – Próbowала brzmieć groźnie, ale jej piskliwy głosik skutecznie zniekształciło wycie syreny.

Orion bardziej czytał jej z ust niż słyszał, co mówi. Zresztą musiał wsłuchiwać się w kolejną smutną historię użytkownika sieci w pałacu króla Gawlanu. Właśnie zamawiał nowe materiały i cały koszyk diabli wzięli. Co za tragedia!

– Kiedy wróci Dawid przyjdź do mojego gabinetu – zarządziła.

Orion postanowił ją zignorować. Czekalo go jeszcze dziesięć godzin zmagania z ludźmi, którzy byli na tyle mało inteligentni, że chcieli zadzwonić do helpdesku założonego na planecie pełnej przestępców i wyrzutków społecznych.

Dawid biegiem wrócił na stanowisko pracy. Wziął od Oriona słuchawkę.

– Co się dzieje? Kto dzwoni? Co się stało?

– Nikt szczególny i nic ciekawego. Powiedziałem, że może iść się pieprzyć. – Wyszczrzył zęby.

Dawid uderzył go w głowę i zaczął przeproszającym tonem rozmawiać z użytkownikiem sieci pałacowej.

Orion odebrał kolejny telefon. Potoczył zmęczonym wzrokiem po sali. Była to dopiero czwarta rozmowa, a on już miał ochotę zwymiotować do słuchawki.

Wszyscy siedzieli przy wielkich stołach ustawionych w poprzek sali, frontem do gabinetu liderki. Każdy miał na stanowisku telefon, stos instrukcji oraz własnych notatek. Przy ścianach stały regały z książkami. Helpdesk zajmował się wsparciem technicznym wszystkich możliwych urządzeń, zarówno mechanicznych jak i elektrycznych, które posiadali obywatele królestwa Gawlan. Przez wiele lat nikt nie zastanawiał się jak coś działa i jak to naprawić. Istniejąca technologia została stworzona przez Przedwiecznych i działała. Jeżeli coś się zepsuło, wyrzucano to na śmietnik. Dopiero arystokratka, Iwona Ayub z B'torów wpadła na pomysł, że prawie wszystko można naprawić, a informacje o sprzętach pozostawione są w starożytnych księgach Przedwiecznych. Ojciec Milijcusz wymyślił, jak zrobić z tego biznes.

W czasie przerwy obiadowej Orion siedział sam. Nikt inny nie mógł mu towarzyszyć. Kolejna zasada mówiła, że chodzi się na obiad pojedynczo, żeby odbieralność nie spadała. I tak spadała. Na ten temat także mieli codzienne pogadanki.

Kiedy już prawie kończył przeżuwać suchy chleb, zbliżył się do niego Muj-Pataka. Konspiracyjnym ruchem wyciągnął z kieszeni drobne zawiniątko.

– Mam trochę czystego zyzmu – wyszeptał.

Zyzm był specjalnym narkotykiem umożliwiającym ludziom życie na praktycznie każdej planecie. Zakon twierdził, że to dar od Boga i z tego powodu tylko osoby duchowne mogły nim handlować. Za nielegalną dystrybucję groziło nawet obarczenie ekskomuniką. Na Sivusze nikt się tym nie przejmował.

– Ile? – wymamrotał Orion.

– Dla ciebie – Muj-Pataka uśmiechnął się przyjacielsko – powiedzmy, że to prezent.

Orion lubił dostawać prezenty, więc i ten przyjął. Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Będę musiał zaraz wracać, bo się na mnie wydrze – westchnął Muj-Pataka. – Dostałem ostrzeżenie, że jak nie będę się starał, to mnie zwolni.

Właściciel fantazyjnego tatuażu wzruszył ramionami.

– Jesteś dobry, nie zwolni cię.

– Moje statystyki uległy pogorszeniu. – Dealer zwiesił smętnie głowę. – Stary jestem i chyba się do tego nie nadaję. Może sam odejdę?

Orion poklepał kolegę po plecach. Wiedział, że się nie zwolni. Nienawidzili pracy tutaj, była poniżająca. Oni, ludzie wolni, wymykający się wszelkim konwenansom i regułom, dali zwabić się wysokimi pensjami i stałym zarobkiem. Mogli teraz pozwolić sobie na większy luksus niż przeciętni mieszkańcy Sivuchy. Bardzo dobrze zdawali sobie z tego sprawę i dlatego pozwalali jakiemuś arystokratycznemu dziecku sobą pomiatać.

– Już ja ją naprostuję – obiecał Orion, wstając. – Pokażę jej, jak wygląda życie u nas.

Chwilowo musiał jednak dać za wygraną i zaakceptować wizję życia według Iwony. Czekala na niego przy stanowisku pracy. Przypomniała o swoim poleceniu z rana i kazała natychmiast iść za sobą do gabinetu. Orion poszedł i rozsiadł się na kanapie. Liderka usiadła za biurkiem. Zaczęła nerwowo sortować dokumenty. Wyciągnęła jakąś karteczkę i przyglądała. Nad jej głową wisiał telebim z wielką tabelą przedstawiającą statystyki. Wszystkie świeciły się na czerwono. Ojciec Milijcusz stał za nią i dobrotliwie się uśmiechał.

– Znowu były na ciebie skargi. – Iwona wbiła wzrok w papier przed sobą.

Pewnie przygotowała wcześniej wszystko w punktach, pomyślał z pogardą Orion.

– Jesteś nietaktowny wobec klientów – mówiła. – Nie zapominaj, że oni płacą nam za każdy telefon. Nie chcemy ich stracić.

Orion podłubał w nosie i obejrzał urobek. Ostentacyjnie wytarł go w kanapę.

– Nie zauważyłem, żeby dzwoniło ich mniej.

Iwona starała się na niego nie patrzeć, ale błękitne oczy Milijcusza bacznie go obserwowały. Nie skomentował jego zachowania. Orion zaczął więc dłubać w zębach.

– To wszystko? – zapytał.

– Nie – zaprzeczyła Iwona. – Chcieliśmy też porozmawiać o twoim spadku wydajności. Zauważyliśmy, że odbierasz ostatnio znacznie mniej telefonów oraz twoja motywacja jest mniejsza niż na początku.

Acha, czyli puszcza mi tę samą gadkę co Muj-Patace,

pomyślał. Tylko, że on nie da się zastraszyć. Rozłożył ręce.

– Dzwoni do nas coraz więcej ludzi z coraz dziwniejszymi problemami.

– Planujemy bowiem pewną restrukturyzację. – Iwona przewiercała wzrokiem kartkę na wylot. Ani razu nie podniosła na niego spojrzenia. Była mocno zestresowana. Orion zdawał sobie sprawę, że ją przeraża. Miała zaledwie dwadzieścia lat, była wychowana na dworze króla Gawlanu na potulną pannę dworu, a zarządzała zgrają outsiderów z najbardziej zaniedbanego skraju królestwa. Orion współczułby jej, gdyby nie darzył taką odrazą. Uważał, że w ogóle nie przemyślała całego przedsięwzięcia i jej rola polegała tylko na gaszeniu coraz liczniejszych pożarów. Grała jednak wielką ważniaczkę i geniusza. Zadzieriała nosa, rozkazywała im nie mając pojęcia, z czym muszą się mierzyć. Podobno potrafiła naprawić każdy zepsuty sprzęt, ale zdolności przywódcze miała zerowe. To koneksje i pochodzenie wyniosły ją na tak wysokie stanowisko, a nie doświadczenie i zasługi. Reprezentowała nepotyzm i oligarchię, które jak rak toczyły królestwo Gawlanu.

– Planujemy... to znaczy udziałowcy i członkowie zarządu zaproponowali, żeby płacić nam tylko za rozwiązane zgłoszenie.

Orion uniósł brwi. Brzmiało to jak strzał w stopę. Z armaty.

– Niby jak miałoby to działać? – Zignorował liderkę i spojrzał wprost na Milijcjusza.

Iwona poruszyła się na krześle. Poczula się mało

ważna. Kontynuowała:

– Po każdej rozmowie ktoś oddzwaniałby do klienta i pytał się, czy jest zadowolony z rozwiązania. Jeżeli tak, to ściągalibyśmy z jego karty płatniczej odpowiednią opłatę.

Orion przyglądał się dalej zakonnikowi. Jego pozornie dobrotliwe spojrzenie pozostawało nieprzeniknione. Niemożliwe, żeby Zakon dobrowolnie, w imię świadczenia wysokiej jakości usługi, zgodził się na utratę zysków z helpdesku. Mniej więcej orientował się, ile codziennie zarabiali, pracując po dziesięć godzin i odbierając przeciętnie sto dwadzieścia pięć telefonów na głowę. Chyba że klient miał nadal płacić, tylko środki byłyby lokowane na różnych kontach. Sprytnie. Ex-przestępca docenił w duchu prostotę takiego planu.

– Kto miałby oddzwaniać, skoro wszyscy jesteśmy zajęci? – zapytał tylko.

Iwona spoglądała błagalnie na ojca Milijcjusza. Drżały jej ręce. Pewnie jej także nie podobala się taka restrukturyzacja. Albo bała się zarówno Oriona jak i swojego szefa.

– Wy – odezwał się wreszcie menedżer. – Po skończonej pracy.

Dalej nastąpiły zapewnienia liderki, że zorganizują więcej szkoleń, zatrudnień i będą w stanie przejąć na siebie dodatkowe obowiązki. Orion chętnie powiedziałby, co o tym myśli, ale pozostawił to dla siebie. Przewidywał, że żadnych szkoleń ani nowych zatrudnień nie będzie. Iwona za często coś obiecywała, żeby ktokolwiek jej wierzył. Wychodząc, zwrócił się do arystokratki:

– Nie bardzo rozumiem, po co w takim razie nam aż dwoje dowodzących. Przydałby się ktoś na froncie. Ktoś, kto podobno umie wszystko naprawić.

Wrócił do telefonu w gorszym nastroju niż był od rana. Chętnie utarłby nosa tym dwojgu, ale nie miał co próbować walczyć z zakonnikami. Młoda dziewczyna to natomiast zupełnie inna sprawa. Już nawet miał pomysł, jaki psikus może jej wykręcić.

– Helpdesk – wysyczał.

– Ja już tak nie mogę – usłyszał wysoki, drżący głos. Dzwoniący pociągnął nosem.

Płakał.

– Nie miałem do kogo zadzwonić. Nie mam nikogo na świecie. Proszę o pomoc.

Orion przewrócił oczami.

– Kiedyś stosowano pchnięcie nożem w brzuch, ale pistolet byłby skuteczniejszy. O ile umie pan strzelać – doradził.

Rozmówca milczał przez chwilę.

– Chyba nie umiem – wymamrotał wreszcie. – To co z tym nożem?

Orion położył nogi na biurku i podłubał w wolnym uchu.

– Bierz pan nóż kuchenny, ale taki duży, ostro zakończony. Tasak się nie nada, ale na pewno coś pan znajdzie. Czubkiem wbija pan pięć centymetrów powyżej pępka.

– A jak się nie uda? – Głos drżał.

– To zadzwoni pan znowu. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę. Ludzie byli naprawdę bezczelni!

Dzwonili do nich ze wszystkim, a przecież wyraźnie było ogłaszane, że zajmują się tylko sprawami technicznymi.

Dawid patrzył na partnera pytająco. Orion tylko machnął dłonią i odebrał kolejny telefon.

– No wreszcie! – Kobięcy głos ryknął mu do ucha. – Szybko, potrzebujemy pomocy. Goni nas statek obcych. Musimy uciec w nadprzestrzeń.

Orion chciał już im odpowiedzieć, dokąd mogą uciec przed obcymi, ale przypomniała mu się uwaga Iwony. Miał być bardziej miły.

– W czym mogę pomóc? – zapytał uprzejmie. Przynajmniej wydawało mu się, że tak brzmiał.

– Ty kretynie! Skok w nadprzestrzeń nie działa! Wcisnęłam guzik i nic.

Pilotka po drugiej stronie musiała być bardzo poirytowana. Orion westchnął. Ciągłe musiał powtarzać to samo:

– A czy próbowała już pani wyłączyć i włączyć jeszcze raz?

– Że co? Statek, kurwa? – Sądząc po odgłosach toczyła się tam regularna, kosmiczna bitwa.

– Tak – odparł spokojnie, oglądając swoje paznokcie. Miały idealne czarne obwódki. Doprawdy, ludzie dzwoniли do nich nie próbując wpierw znanych wszystkim rozwiązań.

– To proszę spróbować i jeżeli nie zadziała, oddzwonić. Do widzenia.

Już chciał odłożyć słuchawkę, ale pilotka nakazała zostać na linii, podczas gdy ona spróbuje zrestartować statek. Głos miała tak władczy, że nawet Orion posłuchał.

Podczas gdy ona wyłączała systemy, w helpdesku także podniósł się wrzask. Iwona wybiegła z gabinetu i zagrodziła drogę Mercedes, zmierzającej do toalety.

– Mam już dosyć waszej samowoli! – piszczała. – Ustalane było, że macie zapalać lampki. Nie możecie chodzić do toalety, kiedy chcecie. Spada nam odbieralność! Wracaj do pracy.

Orion pokręcił głową. W słuchawce zawył na nowo odpalony motor statku.

– Przygotowuję skok w nadprzestrzeń – relacjonowała pilotka.

Mercedes żywo dyskutowała z Iwoną. Liderka trzęsła się z wściekłości, Mercedes starała się pozostać spokojna.

Połączenie nagle się urwało. Pewnie udało się wskoczyć w nadprzestrzeń, a stamtąd nie można dodzwonić się do helpdesku. Orion jednak nie odłożył słuchawki i udając, że nadal rozmawia z klientem, przyglądał się kłótni. Mercedes wyminęła Iwonę i wściekle szła do toalety. Liderka krzyczała za nią jak to bardzo niekoleżeńskie z jej strony. Orion wołał jednak, żeby jego koledzy i koleżanki nie sikali przy stanowiskach pracy. Znając pomysły zarządu, pewnie zaraz każą im założyć pieluchy.

Orion stał przed helpdeskiem i wciągał zyzm. Proszek zbił się w większą grudkę i załaskotał w nosie. Mężczyzna kichnął siarczyście i wytarł nos w mankiet płaszcza.

Pomysł zarządu nie przypadł mu do gustu. Jego zda-

niem to ewidentny skok na kasę. Rozwiązywalność zgłoszeń stała na poziomie sześćdziesięciu procent. Nie pozbywaliby się aż połowy zysków. Pokręcił głową. Iwona musiała być bardzo głupia, że się na to zgodziła. Najprawdopodobniej w ogóle tego nie przemyślała. Spijała każde słowo z ust ojca Milijcjusza i chciała wypełnić każde jego zarządzenie. Kosztem własnego zespółu.

Westchnął. Zyzm powoli zaczął działać. Orion czuł jak jego oddech staje się coraz głębszy, jak krew gotuje się i zaczyna płynąć wolniej. Oparł się o ścianę tunelu i odetchnął. Miał wrażenie, że spada, ale było to bardzo przyjemne. Przejechał dłonią po łysinie.

Schował resztkę zyzmu do kieszeni i ruszył tunelem. Tym razem nawet nie próbował ustawić się w kolejce do windy, tylko udał się do maszynowni. Stamtąd można było włączyć w podłodze wejść do szybu. Począł, aż platforma była dostatecznie blisko i zeskoczył. Usadowił się wygodnie i spojrzał przez wywietrznik w podłodze do wnętrza kabiny. Stłumił pisk radości. Do podróży dołączyła Iwona z ojcem Milijcjuszem. Nie spodziewał się ich tutaj, ale wpadł mu pewien pomysł do głowy.

Zanim winda ruszyła, z powrotem znalazł się w maszynowni. Jego szefowie rzadko korzystali z tego rodzaju transportu, była więc to jedyna w swoim rodzaju szansa. Nie miał niestety przy sobie nic do przecięcia grubych lin. Mógłby w ten sposób nadwyrężyć ledwo trzymający się balast, musiałby jednak mieć ze sobą jakiś palnik czy nawet coś bardziej szatańskiego. Nie zaprzętał sobie tym głowy. Istniał inny sposób, który Orion chciał wypróbować.

Rozejrzał się po maszynowni. Przed nim stał ogromny motor, niestrudzenie napędzający wielkie koło wciągające kabinę w górę i spuszczaające ją na dół. Było mniej więcej wysokości Oriona. Obok stał starodawny panel kontrolny wyłożony kwadratowymi przyciskami – stycznikami – wielkimi jak arbuzy. Każdy miał swoją przegródkę i do każdego doprowadzona była linka. W znanej sobie kolejności zaczęły klikać, kiedy winda ruszyła. Motor jęknął. Orion mógł po prostu powyciągać linki ze styczników i zobaczyć, co się stanie. Szukał jednak czegoś innego. Niepozornej rurki tuż przy kole. Wypełniona była płynem i odpowiadała za hamowanie. Tyle wiedział. I był bardzo ciekawy, co się stanie, kiedy ją odetnie. Musiał się śpieszyć, bo kabina już dojeżdżała do drugiego poziomu. Przykucnął przy kole i zaczął szukać po omacku. Bardzo szybko pobrudził się smarem i kurzem. Dawid nie będzie zadowolony, kiedy go tak zobaczy. Zapalił zapalną. Zobaczył cienką rurkę tuż za kołem zamachowym. Sterczała pod dziwnym kątem i prowadziła do drugiego wielkiego bębna przy motorze. Wcisnął się między elementy maszyny i pociągnął. Nie chciała puścić. Usłyszał za sobą klikanie. Kabina już osiadła na przystanku. Pociągnął jeszcze raz. Kliknął stycznik prawdopodobnie odpowiedzialny za hamowanie. Orion zaparł się nogami o obudowę motoru i z całej siły szarpnął. Trysnął na niego płyn, a rurka została w ręku. Z zadowoleniem wytarł dłoń o spódnie.

I nasłuchiwał.

Winda przestała się zatrzymywać i jechała dalej. Najpierw powoli i majestatycznie, ale nadwyrężony balast,

niepowstrzymywany już niczym, dużo szybciej szedł do góry, podczas gdy ona jechała w dół. Liny naprężyły się. Koło przyspieszyło. Orion dopadł wjazdu i nasłuchiwał. Pasażerowie pewnie jeszcze nie wiedzieli, że są zamknięci w pułapce. Koło kręciło się dużo szybciej niż normalnie, wzbijając chmurę kurzu. Przestępca wsadził głowę w szyb windy, żeby się nie zakrztusić.

Wreszcie usłyszał upragnione krzyki paniki.

Winda leciała w dół. Musiała minąć już czwarte piętro. Orion schował nos w mankiet płaszcza i spojrzał na maszynę. Motor wył, nieprzyzwyczajony do takich obrotów. Swobodnie spadająca kabina rozpędzała się dużo szybciej, niż przewidział to konstruktor. Zaraz może i motor się zepsuje, pomyślał z radością Orion. Tylko jeden klikacz pozostał w użytku i kłapał co parę sekund.

Nagle koło z impetem zatrzymało się. Rozległ się huk, aż Orionowi zadzwoniło w uszach. Motor jęknął i wyłączył się. Stycznik jakby z zadowoleniem kłapnął jeszcze raz i także przeszedł w stan spoczynku. Orion podrapał się w głowę. Ciekawe, co mogło się stać. Najwyraźniej zainstalowane było jakieś zabezpieczenie, które nie pozwalało windzie spaść. Postanowił się tym nie przejmować. Zszedł przez właz w podłogę i przycupnął na gzymsie w nadwindziu. Z dołu dochodziły go stłumione, przerażone krzyki. Jeżeli w środku były zwierzęta i dzieci, musiał panować tam chaos. Z satysfakcją myślał o tym, jak mogła czuć się teraz Iwona i ojciec Milijcusz. Dwoje ludzi z „lepszego świata”. Myśleli, że mogą tu przyjechać i wydawać rozkazy. Byli pewnie bardziej przerażeni niż reszta. Nie mogli liczyć na ratunek

z zewnątrz. Tylko współpraca mogła ich wydostać z tej ciasnej pułapki.

Orion z zadowoleniem wyciągnął zawiniątko z zyzmem. Zapowiadało się przyjemne popołudnie.

Najpierw uwięzieni wzywali pomocy. Na przemian i chóralnie. Walili w drzwi. Orion ostrożnie wyjrzał ze swojej kryjówki, czy nikt przez przypadek nie przyszedł do maszynowni sprawdzić, co się stało. Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, wrócił na swoje miejsce. Wołania o pomoc najwyraźniej przyniosły skutek, ponieważ ktoś próbował otworzyć drzwi do szybu od strony zewnętrznej. Był to daremny wysiłek, bo otworzyć można je było tylko w maszynowni. Albo posiadając szmatę i zręczne palce, o czym wiedział Orion. Sądząc po odgłosach, ktoś próbował podważyć drzwi za pomocą czegoś bardzo ciężkiego. Skrzypienie rozchodziło się echem po szybie.

Zniecierpliwiony agent helpdesku wrócił do panelu kontrolnego. Nie miał pojęcia, które styczniki odpowiadały za konkretne drzwi, wcisnął więc wszystkie. Z głębi szybu doleciał wrzask i łomot. Liny na chwilę puściły zatrzymując się parę centymetrów dalej. Spojrzał w otchłań. To, czym próbowano podważyć drzwi wleciało do szybu, zahaczyło o kabinę i spadło dalej. Teraz winda huśtała się we wszystkie strony, obijając się o ściany szybu. Pasażerowie krzyczeli.

Orion wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru im pomagać, musiał jeszcze po sobie posprzątać. Wszedł znowu między koło a motor i zaczął szukać rurki hamulcowej. Niestety nigdzie nie mógł jej znaleźć. Ukląkł i po ciemku obmacywał podłogę kawałek po kawałku. Gdzieś

przecież musiała leżeć.

W ostatnim momencie usłyszał kroki. Jednym susem znalazł się za motorem. Drzwi maszynowni otworzyły się.

– Naprawdę, nie ma potrzeby, żebyś się tym przejmowała. – Usłyszał głos ojca Milijcjusza. – Wszyscy zostali uratowani, a tobie nikt nie zapłaci za naprawianie starego szmelcu.

Orion nie spodziewał się, że duchowny zna takie słownictwo. Ostrożnie wyrzwał z kryjóWKi. W półmroku zobaczył jasną głowę Iwony. Była cała poczochna i miała zastygłe łzy w oczach. Mimo to rozglądała się ciekawie po maszynowni.

– Chciałabym zobaczyć, co się stało – wymamrotała. Orion usłyszał z satysfakcją, że głos się jej załamuje. Musiała przeżyć w windzie niezły dramat.

Zakonnik wzruszył ramionami.

– W jakim celu? Po prostu się zepsuło.

Ponieważ Iwona go zignorowała i podeszła do panelu kontrolnego, ojciec Milijcusz odwrócił się na pięcie.

– Rób jak uważasz, ale ja nie mam ochoty tu siedzieć. Sama znajdziesz drogę do domu.

Wyszedł, a za nim potruchtała Iwona. Bała się pozostać w takim miejscu sama.

Orion ostrożnie wyszedł z ukrycia i z powrotem zajął się szukaniem kabla. Systematycznie przeszukiwał centymetr po centymetrze. Był już pewnie tak brudny, że Dawid się na niego obrazi. Nagle poczuł, że nie jest sam. Ktoś oddychał ciężko, a zarazem starał się zachowywać jak najciszej. Bardzo nieumiejętnie. Mężczyzna powoli

wyprostował się i obrócił. W drzwiach stała Iwona. Zmieszała się, kiedy ją zobaczył. Nie wyglądała na zaskoczoną. Ze świstem wypuściła powietrze i podeszła w jego stronę. Nic nie mówiąc obejrzała koło. Znalazła miejsce, gdzie kiedyś tkwiła rurka hamulcowa. Spojrzała pytająco na Oriona.

– Tu powinien być jeszcze jeden element. – Pierwszy raz w dniu dzisiejszym patrzyła bezpośrednio na niego. Zagubiona łza spływała jej po policzku.

– Możliwe. – Wyszczерzył zęby.

Iwona rozejrzała się. Uklękła koło Oriona i zaczęła szukać.

– Wiem, że to zrobiłeś – wymamrotała nie przerywając poszukiwań.

– Nie – skłamał beczelnie. Przyznanie się do winy byłoby głupotą. Kucnął koło niej i także kontynuował poszukiwania.

– Zrobiłeś to, ale nikomu nie powiem – odezwała się po chwili ciszy. – Ale musisz mi pomóc. Tutaj była rurka niepozwalająca windzie się rozpędzić. Jeżeli tylko ją odkręciłeś, to możemy przykręcić na nowo. Gorzej, jeżeli wyrwałeś i wylałeś cały płyn w niej zawarty.

Orion właśnie znalazł rurkę pod palcami i podał Iwonie. Faktycznie wyrwał ją bez przemyślenia, jak to później naprawi.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

Iwona przez chwilę przyglądała się końcówce. Wreszcie wstała i zaczęła majstrować przy jej podłączeniu.

– Co robię?

– Dlaczego naprawiasz tę windę?

Znowu spojrzała prosto na niego. Wyczuwał jej strach. Miała powiększone źrenice, nabrzmiałe nozdrza i lekko dygotała. Ręce jednak nadal sprawnie pracowały.

– Wierzę, że mogę coś zmienić na tym świecie.

Orion parsknął śmiechem.

– Skarbie, na Sivusze nic nie zmienisz, możesz tylko stracić życie. Ale jak tak bardzo chcesz, to może zaczniesz od samej siebie, co?

Iwona nic już nie odpowiedziała. Skupiła się na naprawie. Orion oparł się o konstrukcję motoru. Przyglądał się. Wiedziała, co robi. Działała z lekkością świadczącą o pewności siebie, zupełnie inaczej niż podczas codziennej pracy. Nie nadawała się na szefową, powinna była usiąść razem z nimi i odbierać telefony. Nigdy jednak tego nie zrobi. Orion zadrżał nagle na samą myśl, która właśnie wpadła mu do głowy. Jeżeli ona przestałaby być bezpośrednią liderką, zostałby nim Milijcusz. Dobrze, kiedy ktoś znajdował się pomiędzy nim a zespołem. Tak naprawdę to przez zakonnika było tak beznaziejne. Iwona była nieszkodliwa.

Uśmiechnął się do niej.

– Gratuluję skutecznej naprawy. – Wyciągnął z kieszeni woreczek z zyzmem. – Może to uczymy?

Iwona odskoczyła z przerażeniem.

– Nie biorę takich rzeczy!

Wzruszył ramionami i nabrał trochę na palec. Iwona westchnęła i podeszła do niego.

– Poproszę, ale bardzo mało – odpowiedziała nieśmiało na jego uśmiech.

Usiedli w nadwindziu i obserwowali maszynę jeź-

dżącą w górę i w dół. Nie rozmawiali. Orion wciągnął zbyt dużo, by mówić przyzwoicie, a Iwona czuła się zbyt skrępowana. Na tę krótką chwilę zawarli rozejm. Było jasne, że oboje powrócą jutro do swoich nielubianych ról i wszystko będzie jak dawniej. Orion wstanie rano, spojrzy we własne odbicie i znów splunie z niezadowoleniem, że tak łatwo dał się kupić.

Michał Bończyk

Zima



MICHAŁ BOŃCZYK – Rocznik 86, absolwent Politechniki Łódzkiej. Lubi ludzi, ale bez przekonania i dość ostrożnie, tylko w określone dni tygodnia. Chętnie bierze udział we wszystkich fandomowych inicjatywach, pod warunkiem że mają miejsce w czasie zaćmienia słońca. Nie jest reptilianinem.

„Zima” to druga wersja opowiadania, protagonisty poprzedniej nawet autor nie był w stanie polubić.

Świat skończył się spokojnie. Zamarzł i zasnął, zakopany pod śniegiem, pogrążony w ciemności i wiecznej zimie. Lecz to nie koniec tej opowieści, bo choć świat się skończył, garstka ludzi przetrwała.

Ledwie widoczna ścieżka biegnie przez las, czarne sylwetki drzew wyciągają gałęzie ku niebu. Pojedyncza, ciemna postać brnie przez głęboki śnieg, oddech paruje w mroźnym powietrzu. Mężczyzna wygląda staro i tak się czuje. Przedwcześnie posiwiałe włosy opadają na policzki, broda nie ukrywa bruzd wokół ust. Wędrowiec ma na imię Caleb i w życiu popełnił wiele czynów, takszlachetnych jak i nikczemnych. Ale to nie ma znaczenia; świat, w którym było miejsce na przygody, skończył się. Została tylko zima.

Caleb nie jest do końca pewien, gdzie trafił. Kiedyś dobrze znał tę krainę, lecz od kiedy świat skuł lód, wszystko się zmieniło. Miasta i wioski opustoszały, drogi i pola pokryła biel, lasy stały się obce i nieprzyjazne. Jakby sama natura rzeczywistości uległa zmianie.

Mężczyzna idzie przez las wśród czarnych drzew, rzucających długie cienie w bladym świetle słońca. Śnieg skrzypi pod nogami. Powoli się ściemnia, w powietrzu czuć mróz, wiatr porusza bezlistnymi gałęziami.

Nagle jeden z cieni drga. Rozwija się. I skacze, wyrzu-

cając śnieg w powietrze.

Caleb kątem oka dostrzega ruch, cudem unika pierwszego ciosu. Chwyta za miecz zawieszony u pasa, ale nie jest w stanie go dobyć. Przymarzył.

Mężczyzna próbuje uchylić się przed kolejnym uderzeniem. Za wolno. Ostrze zawadza o czaszkę tuż nad skronią, gruba futrzana czapka pochłania część siły ciosu. Przed oczami błyska, ból rozkwita jak kwiat. Mężczyzna uskakuje, kopie na oślep. Trafia i odrzuca napastnika. Drobną postać uderza plecami w drzewo. Caleb nie pozwala jej się otrząsnąć. Odbija się mocno, skacze, trafia pięścią w splot słoneczny, potem w twarz.

Napastnik upada na kolana, wypuszcza miecz. Długie, jasne włosy wysuwają się spod czapki, lecą na policzki. Caleb wzdycha cicho.

– Znowu ty? – pyta.

Dziewczyna nie odpowiada, patrzy na niego z nienawiścią.

Caleb podnosi upuszczony miecz, rzuca daleko. Napastniczka wstaje powoli. Jest szczupłą, wręcz chorobliwie, czarne oczy błyszczą gorączką. Mężczyzna nie jest w stanie określić, ile dziewczyna może mieć lat.

– Zostaw mnie w spokoju – mówi Caleb. – Proszę.

Tamta patrzy na niego długo, spluwa czerwienią na śnieg. Potem odchodzi. Mężczyzna ociera krew ze skroni, potrząsa ze smutkiem głową. Wie, że za kilka dni napastniczka zaatakuje ponownie.

Caleb spędza noc w opuszczonym pasterskim szałasie.

Wiatr wyje, wznosi tumany śniegu, wciska się w każdą szczelinę. Wewnątrz jest tylko nieco cieplej niż na zewnątrz; ogień u wejścia trzeszczy cicho, rzuca czerwone światło na chropowate gałęzie stropu. Caleb wciska dłonie pod pachy, wpatruje się w zacinający na zewnątrz śnieg i próbuje nie zamrznąć. Od czasu do czasu wstrząsa nim kaszel. Czuć dymem i ziołami.

Na zewnątrz coś się porusza. Przez śnieżycę, pomiędzy czarnymi drzewami coś idzie. Zbliża się. Caleb zaciśka dłoń na rękojeści miecza, czeka. Błada postać podchodzi bliżej.

Po chwili wchodzi w krąg światła. Kobieta, wysoka, w koronie z suchych gałęzi, w sukni koloru śniegu. Białe włosy falują w zimnym wietrze.

– Witaj, Zimo – mówi mężczyzna.

– Witaj, Calebie. – Kobieta podchodzi krok bliżej. W świetle ogniska jej oczy wydają się czerwone, lecz mężczyzna wie, że mają kolor lodu. To nie jest ich pierwsze spotkanie.

– Przyszłaś mnie zabrać? – pyta.

– A chciałbyś pójść ze mną? – Zima uśmiecha się lodowato.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Jeszcze nie dziś.

– Ty mnie sprowadziłeś – mówi Zima – czemu teraz mnie odtrącasz?

Caleb wzrusza ramionami, nie odpowiada.

– Możemy rządzić razem – mówi znowu bladooka. –

Na wieki, ty i ja, władcy lodowej krainy. Bez kapłanów i bogów.

– A oddasz mi tych, których zabrałaś?

– Wiesz, że nie mam takiej mocy – mówi łagodnie Zima. – Ja tylko zabieram.

Caleb nie odpowiada, wpatruje się w przestrzeń.

– Zmienisz zdanie – stwierdza kobieta. – Gdy w końcu zabiorę ci wszystko, przyjdiesz do mnie. Tylko ja ci zostanę.

– Kiedy? – pyta ochryple mężczyzna.

– Niebawem, najdroższy. Niebawem.

Zima muska bladymi palcami pełne usta, przesyła całusa. Lodowaty wiatr uderza w małe ognisko, śnieg tnie jak tysiąc igieł. Caleb osłania twarz rękoma, ale niewiele to pomaga. Skóra na twarzy pali, mróz wgryza się w kości. Ogień gaśnie. Mężczyzna zwija się w kłębek i czeka aż udręka się skończy. Wtedy wali się dach szałas. Caleb słyszy jeszcze głos Zimy:

– Będziesz mój... wkrótce.

Potem świat znika.

Kiedy Caleb się budzi, jest jasno. Niebo jest lodowato-błękitne, śnieg skrzy się, że aż bolą oczy. Mężczyzna wstaje z wysiłkiem, ściąga z siebie resztki szałas, strzepuje śnieg. Wstrząsa nim kaszel, ale jest w stanie chodzić. Jeszcze. Zarzuca na plecy tobolek i rusza dalej.

Człowiek, który przepędził wiosnę, idzie czarno-białym zimowym lasem. Przedziera się przez niskie sosny,

strzepuje z ramion śnieg, dociera do przecinki. Zatrzymuje się.

Na środku białej polany, między czarnymi drzewami widzi znajomą postać. Dziewczynę, wspartą na włóczni. Caleb wyciąga miecz i pochodzi bliżej. Wokół zaczynają wirować pierwsze płatki śniegu.

– Czemu? – pyta. – Ocaliłem ci życie. Wiesz, że by cię zabili.

– Byłam na to gotowa! – krzyczy dziewczyna. Śnieg osiada jej na włosach. – Czemu musiałeś wszystko zepsuć?

Caleb milczy.

– Ty... głupi capie! – krzyczy dziewczyna. – Ty uparty... – zaczyna, ale nie kończy. Zatacza się, opiera na włóczni, traci równowagę i upada w śnieg. Mężczyzna dobiega do niej, klęka, ze stęknieniem obraca na plecy.

Dziewczyna jest nieprzytomna. Oddycha lekko, płatki śniegu topią się na jej powiekach. Caleb potrząsa nią na próbę, klepie po policzku. W końcu wsuwa ręce pod ramiona i kolana, wstaje z wysiłkiem.

Muszę znaleźć schronienie – myśli Caleb. – Szałas nie wystarczy. Muszę znaleźć schronienie i ją jakoś rozgrzać, albo...

Nie kończy.

Idzie leśną ścieżką pod górę, a śnieg pada coraz mocniej. Płacze nogi, utrudnia widzenie. Dziewczyna jest cięższa z każdym krokiem, pachnie potem i dymem, ziołami i chorobą.

Caleb idzie, kilka, może kilkaset kroków, kiedy uświadamia sobie, że wie gdzie jest. Zna to miejsce.

– Nie... Na bogów, tylko nie tutaj. Nie teraz.

Bogowie nie odpowiadają, więc idzie dalej. W śpiewie wiatru słyszy daleki śmiech Zimy.

Na końcu przecinki, na skraju przepaści czai się świątynia, czarna i przysadzista. Miejsce, gdzie wszystko się zaczęło.

Budowlę wzniesiono na planie krzyża z ciemnych głazów wyższych niż człowiek. Kamienie są osmalone, dach częściowo się zapadł, śnieg pokrył wszystko grubą warstwą.

Caleb potrząsa głową i idzie w stronę ruin. Gdzie nie spojrzy, widzi srebrzyste, drwiące spojrzenie Zimy pomiędzy wirującymi płatkami.

– Nie jest jeszcze za późno – słyszy tuż przy uchu. Oddech Zimy pachnie mroźnymi porankami. – Zostaw ją i chodź do mnie. Szybko, zanim zmienię zdanie.

Caleb kręci głową, brnie naprzód. Wiatr wyje, śnieg zacina, mróz wgryza się w kości. Gdy mężczyzna dochodzi do świątyni, nie czuje już rąk. Przekracza butwiejące na kamiennej posadzce wrota, wchodzi w mrok. W środku czuć wilgocia i zgnilizną. Caleb nie zatrzymuje się, mija sień. Wkracza do kaplicy.

W środku jest zaskakująco ciepło. Osmalone belki wciąż pamiętają dotyk ognia, kamienie czują ciepło Ziemi. Odrobina światła wpada przez dziurę w dachu, śnieg wiruje w zatęchłym powietrzu. Caleb z trudem pokonuje ostatnie metry, ostrożnie kładzie dziewczynę w rogu pomieszczenia, na stercie butwiejących liści i niegdyś pysznych draperii. Potem pada tuż obok.

Świątynia płonie. Czarny dym snuje się pod stropem, ogień rzuca czerwone cienie.

Caleb krztusi się mimo chusty owiniętej wokół ust. Jest gorąco; płomienie huczą, gdzieś w oddali ktoś wrzeszczy; nieludzkim, przerażającym głosem. Płon, myśli Caleb. Płon i bądź przeklęty!

Idzie naprzód. Spada belka, ciągnąc za sobą ogień. Mężczyzna przeskakuje nad nią, strząsa iskry z włosów, prze dalej. Przedramieniem ściera sadzę z twarzy. Gdy z dymu wyrasta cień w czerwonej szacie, Caleb uderza na oślep. Ostrze wbija się głęboko w ciało, krew syczy i skwierczy na ostrzu. Kapłan przygląda się napastnikowi z ostatecznym niezrozumieniem umierającego; oczy są jak dwie czarne plamy w bladym owalu twarzy. Potem osuwa się.

Caleb opiera nogę o pierś mężczyzny, szarpie. Wrywa miecz z cichym mlaśnięciem, ostrze zatacza krąg w dymie, ciągnąc za sobą warkocz krwi.

– Precz z bogami! – krzyczy. – Precz z tyranami! Precz z wiosną!

Potem zapada się dach.

Caleba budzi kaszel. Wstrząsa całym ciałem mężczyzny, jakby organizm próbował pozbyć się niegdysiejszego dymu. Kiedy Caleb czuje, że nie wytrzyma dłużej, pękną mu trzewia, atak się kończy. Mężczyzna leży sku-

lony na ziemi, oddycha chrapliwie. Lepkie, czerwone krople spływają z warg, barwią brodę na karminowo.

W świątyni jest ciemno. Przez dziurę w dachu wpada jasna smuga księżycowego światła, wirują w niej pojedyncze płatki śniegu, dołączają do zasy na kamiennej posadzce.

Caleb pamięta, jak w tym miejscu płonęły stosy... och, jak dawno temu. Nim nastała zima. Nie wie, ilu ludzi zginęło tej nocy, podczas ostatniego święta wiosny, ani jak wydostał się ze świątyni. Z jego bandy ocalał może tuzin. Potem ich też zabrała zima. Sama świątynia nie spłonęła do końca; belki, choć osmolone, wciąż stały, kamienne mury oparły się ognioniowi. Zapadający się dach zdusił część płomieni.

Mężczyzna wstaje z wysiłkiem, ściera krew z brody, podchodzi do nieprzytomnej dziewczyny. Chwyta drobny nadgarstek. Puls jest słaby, ledwo wyczuwalny. Skóra kobiety jest chłodna i blada, niemal niebieskawa. Do rana dziewczyna umrze. Chyba, że jakoś ją ogrzeje.

Wykrzywiając wargi w gorzkim uśmiechu, Caleb zbiera drewno, liście i resztki draperii. Kiedy kończy układać stos, zaczyna już szarzeć. Sterta jest niska, ale drewno suche. Będzie musiało wystarczyć.

Podchodzi do dziewczyny, pochyla się, dotyka chłodnego policzka, przykładą dłoń do zimnych ust. Nie czuje oddechu. Wzdycha, siada ciężko obok ciała.

– W końcu zabrałaś ostatnią – mówi.

Powieki dziewczyny trzepocą lekko. Otwiera oczy.

– Tak, Calebie – mówi głosem Zimy. Uśmiecha się, wstaje. Kolor ucieka ze skóry, włosy wypadają spod

czapki, rozwijają się jak węże. W brązowych oczach pojawiają się srebrne plamki, rosną, zlewają się.

Zima przechyla głowę, wykrzywia pełne usta w uśmiechu. Wyciąga rękę, muska mężczyznę po policzku. Jej dotyk jest lekki jak pocałunek wiatru.

– Wkrótce i ty będziesz mój – mówi. – Po co walczysz? Chodź do mnie. W moich objęciach znajdziesz ciepło, którego szukasz. Chodź, obejmij mnie. I zaśnij.

Caleb potrząsa głową.

– Nie masz nade mną władzy – stwierdza.

Zima uśmiecha się lodowato.

– Nie mam – mówi. – Ty mnie przywołałeś i nie mogę cię powstrzymać. Ale to nic nie zmienia. Jestem tu i zostanę na wieki. Dołączysz do mnie tak czy tak.

Caleb mruży oczy.

– Jesteś pewna? – pyta.

Zima uśmiecha się słodko.

– A jak myślisz? Kapłani nie żyją, świątynia spłonęła. Ostatnia ofiara opuściła ten świat na wieki. Kto odprawi rytuał? Ty? – Zawahała się. – Och, nie odważysz się.

Caleb uśmiecha się smutno, wchodzi na stos. Gałęzie trzeszczą pod butami, pachnie stęchlizną i śniegiem. Zima kręci głową.

– Więc jednak? – pyta. – Ty, który zabiłeś kapłanów, teraz dokończysz ich dzieła?

– Na to wychodzi. – Caleb wyciąga z torby krzesiwo, krzesze. Ostrożnie podpala zgromadzone w tym celu strzępy papieru. Dmucha, aż pojawią się płomienie. Potem przykładą plik do drobnych gałęzi u spodu stosu. Powoli, jedna po drugiej gałęzie zajmują się ogniem.

Pachnie dymem.

– Czemu? – pyta Zima.

– Chyba po prostu nie lubię tyranów. – Uśmiecha się w odpowiedzi; po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jest mu ciepło. – Do zobaczenia po drugiej stronie, Zimo.

– Bądź przeklęty.

Potem płomienie buchają wyżej i świat kończy się po raz drugi.

Tomasz Kulik

Bynbyn Benc



TOMASZ KULIK – Urodził się w 1987 roku w Bełchatowie. Z wykształcenia informatyk, zawodowo zajmuje się programowaniem w języku Java. Twierdzi, że ma w swojej naturze zmysł tworzenia. Wykorzystuje go kodując amatorsko gry, pisząc nieszablonowe teksty oraz w swoim zamiłowaniu do świata kulinariów.

„Bynbyn Benc” jest debiutem literackim autora, pełnym zawirowań emocji, dziwnych podróży i zdarzeń.

Mag rzekł skrzeczącym głosem:

– Ja, wielki Bynbyn Benc, będę dziś śledzić boga. Zawsze byłem ciekaw co może robić w wolnym czasie. Zacznę od czynu nad-zwy-czaj-ne-go. Przy pomocy magii uczynię się nie-wy-kry-wal-nym i przeniosę się do jego domeny.

Wyrecytował magiczną formułę:

– Wikol pattex butapren!

Rozległ się świst, a wokół zrobiło się absolutnie białe.

– Dotarłem. Widzę go. Jakiś taki... nie-wy-raż-ny. Chyba do kogoś mówi, podejdę bliżej i posłucham.

– Czym jest ten pisk w twoich uszach? Dobrze się wsłuchaj... To Ja! Słyszę każdą twoją myśl. Czuję każdą emocję. Znam każdą decyzję, a jesteś tutaj, bo lubię mieć towarzystwo, gdy eksperymentuję na ludziach – przemówił bóg, a głos jego wędrował wśród bezkresnej bieli.

– Dziwne, nie mogę opisać jego wyglądu ani barwy głosu. To całkiem fas-cy-nu-ją-ce. Ciekawi mnie również dla kogo ćwiczy to przemówienie. Udam się za nim i sprawdzę.

– Gotów do drogi? – Stwórca zapytał sam siebie. – Wracając do twojego zadania. Odwiedzimy kilka miejsc i osób, a ty dotrzymasz mi towarzystwa. Nikt cię nie zobaczy, nie usłyszy, nie wyczuje. Nic prostszego.

Bynbyna wstrząsnęło, że aż prawie bęcnał.

– Co!? Jest tu inny mag? Muszę odkryć co to za jeden, że miał dość mocy i wiedzy, by tu dotrzeć przede mną.

Zdejmijmy tę jego marną nie-wy-kry-wal-ność. – Machając w powietrzu rękoma wyrecytował kolejne zaklęcie. – Soudal apoksydowy cyjanoakryl! – Ku jego zdziwieniu nic się nie wydarzyło. – Kurczę, dobry jest.

Stwórca uniósł brew patrząc na wygłupy Benca, próbującego odkryć nieistniejącą postać. Po dłuższej chwili zadeklarował:

– Zaczniemy od jednego z częstszych bywalców.

W bieli materializuje się powoli postać siedzącego po turecku, szczupłego mężczyzny. Patrzy przed siebie i przeczesuje wielkie czarne afro.

– Cześć, Bob – powiedział bóg.

– Pokój i miłość – odparł Bob opuszczając ręce.

– Da się załatwić. – Stwórca się uśmiechnął.

W tym samym czasie Bynbyn wyczarował siatkę na motyle i podśpiewując raz za razem, biegał wokół nich szukając konkurenta.

Wystający z afro grzebień nie krępował chłopaka przed zadawaniem pytań:

– Gdzie ja jestem?

– W niebie.

– Czyli to koniec... Chwila, a gdzie blanty i imprezka? A tak w ogóle, kim jesteś?

– Jestem stwórcą. Nie masz się czym przejmować. Nie jesteś jeszcze martwy, a jakieś zioła na pewno się znajdują.

Zdziwiony Bob otworzył szeroko usta, przewietrzył je kilkoma oddechami, po czym powiedział:

– Daj boże.

Z bieli powoli manifestuje się fajka wodna, taca z węgielkami, ziołami i wszystkim, czego Bob kiedykol-

wiek zapragnąłby na niej zobaczyć.

Mag dojrzawszy kątem oka, że coś przegapia, szybko odwrócił głowę w stronę materializujących się przedmiotów.

– Za-dzi-wia-ją-ce. Niby jak magia, ale niczego podobnego nie wyczuwam. – Zbliżył się i usiadł obok Boba, by analizować to zjawisko.

Gospodarz wydarzenia rzekł:

– Zaprosiłem cię, Bob, ponieważ jesteś bardzo pozytywny. Nigdy nie narzekasz na życie. Ostatnio straciłeś pracę, żona wyjechała do mamy, koledzy się od ciebie odwrócili, a ty spokojnie siedzisz i czeszesz afro.

Bob podniósł tacę i grubiańsko przesunął ją powoli pod swoim nosem. Delikatny słodki zapach muskał jego prymitywne zmysły. Po dłuższej chwili odpowiedział:

– Takie rzeczy się zdarzają. Nie mam powodu obwiniać za to ciebie, żony, kolegów ani samego siebie. Przykładam się do wszystkiego co robię, a gdy coś nie wyjdzie, po prostu idę dalej. Właśnie się stroiłem przed kolejną rozmową o pracę.

– Ostatnie trzy nie były zbyt udane, mimo to przy każdej kolejnej wierzysz, że się uda.

– Chuchnij. Nasikaj do kubeczka. Pobierzemy próbkę krwi. Ja wiem, że się nadaję do pracy, to inni wymyślają wymówki, by mnie nie zatrudnić.

Benc pochylił się nad ziołami, zaciągnął się mocno ich świeżym zapachem i powiedział pod nosem:

– Pachną jak... chce się powiedzieć „kurczak”, ale jednak mają piękny i niespotykany zapach. Nie to co tanie wyroby magiczne.

Bob ze stwórcą wypuścili pierwszy dym, a Bynbyn badał opary. Po blisko godzinie rozmów o życiu i przypadku, Benc sam postanowił spróbować. Przesuwał zioła i węgielki w poszukiwaniu tego, który najprzyjemniej pachniał.

– Te, bogu, węgielki mi chodzą – wybąkał Bob. – Chyba już na mnie pora.

– W porządku, odeślę cię z powrotem.

W trakcie ich pożegnania, mag zdążył nabić prywatną fajkę i przypalić.

– Cóż to za nie-by-wa-ły aromat. Trzeba sporo talentu, by coś podobnego stworzyć.

Taca ponownie zanikała w białą niebyt. Nawet dym po Bobie zdążył się rozwiać. Stwórca obrócił się w stronę Bynbyna i rzekł:

– Czas na kolejną wizytę, tym razem to my ruszamy na miejsce.

Bencem ponownie wstrząsnęło.

– Co!? On nadal tu jest? – Chwycił siatkę na motyle, wstał i machał nią jak opętany. Stwórca stał w bezruchu, przyglądając się temu zjawisku i wymamrotał z podniesioną brwią:

– Fajna reakcja. Jedna z rzadszych, muszę przyznać. Ruszajmy.

Biel wokół nich się lekko szarzy. Szarość kłębi się i przesuwają, rozrzedza, ujawnia obraz. Obaj szybują z ogromną prędkością przez chmury. Raz za razem mijają mgławice ptaków zastygłych w bezruchu. Zaskoczony Bynbyn porzuca siatkę, ta w swoim locie rozwiewa się w różowym obłoku i przepada. Benc wyciąga

z ust fajkę i zawiesza na niej martwy wzrok. Po chwili ponownie obejmuje ją wargami, by zaopatrzyć się w dobrą porcję aromatu. Podnosi ręce i muska nimi powietrze. Formuje z wydychanego dymu ptaki, kierując ich lot w każdą stronę świata, w nadziei, że zderzą się z jakąś barierą.

Dziwne. Nie jesteśmy w pojeździe, a poruszam się razem z nim. Możliwe, że cały ten wymiar jest jedną małą przestrzenią wewnątrz istniejącego świata, która przemieszcza się zgodnie z jego wolą. Fa-scy-nu-ją-ce. A kontynent, do którego się zbliżamy, przypomina wielki but. Czekaj. Czy nie powinniśmy zwalniać? – myśli mag, a nogi mu miękną od widoku.

– Fajnie było poznać – mówi pod nosem, po czym lekko przykurcza nogi i zasłania się rękoma.

Po dłuższej chwili bez oczekiwanego dźwięku miażdżonego arbuza, mag odsłania twarz rozglądając się, gdzie teraz są. Mkną nad wąskimi uliczkami miasta.

– Dziwne, nie poczułem jak skręcamy. A może nie skręciliśmy tylko nas przeniósł? Kto by się tym przejmował, żyjemy.

Niektóre budynki są pokryte lustrzanymi oknami, lecz odbicia naszych wędrowców w nich nie ma...

Robiło się późno. Słońce brało już kąpiel w pomarańczach, a podróżnicy w końcu zwalniali.

– To tutaj – mówi majestatycznym głosem bóg.

Zatrzymali się w Watykanie przed placem Świętego Piotra. Przed przejściem dla pieszych, ponad tłumem zastygłych w miejscu ludzi.

– Jak ci się podobała podróż? – zapytał stwórca, po

czym sam odpowiedział: – Mnie również. Widzisz tego żebraka przy światłach? Posłuchamy co myślą mijający go ludzie.

Tłum ruszył, ptaki ponownie latały, światło migotało, a myśli ludzkie stały się wyraźnie słyszalne.

O kurczę, słyszę głosy – pomyślał Benc. – Przydałaby mi się ta zdolność w pobliżu Ireny. – Zrozumiawszy, że również mógł być usłyszany spojrzał pytająco na boga. – Uff. Zakłęcie niewykrywalności na szczęście mnie chroni. O, ktoś podchodzi do wymienionego żebraka, posłucham sobie.

– Masz na tanie wino – powiedział przechodzień, po czym pomyślał: „Zjeżdżaj sprzed Świętego Miejsca i obyś się zachlał na śmierć”.

– A to cham – wybąkał Benc, po czym analizował: – Ciekawe czy przychodzący do mnie klienci też się tak fałszywie uśmiechają. No patrz, kolejny.

„Nie spojrzę mu w oczy, to mnie nie zaczepi. Dlaczego policja go nie wywiozła?”

– Kolejne pięć minut i kolejna starucha – wystękał Bynbyn.

„Sąsiadki patrzą, udam świętą i wrzucę mu coś”.

– Trzymaj, może staniesz kiedyś na nogi – wymamrotał przechodzień, wrzucając mu kilka drobnych. Ludzie omijali żebraka jak zakażnie chorego.

„Tylko by się na tym ścierwu zmarnowało”.

„Karma wraca, wrzucę mu coś”.

„Nie dam, pewnie przepije”.

Przez kolejne dwie godziny ludzie po prostu go mijali. Nikt mu nic nie dał. Wszyscy starali się uciekać wzro-

kiem. W końcu wyłoniła się z tłumu jedna głośna myśl:

„Ja pierdolę! On nie ma butów... Dam mu wszystko co mam przy sobie”.

Stwórca rzekł:

– Ludzie są ciekawi. Tutaj, w sercu Watykanu, tylko jeden z wielotysięcznego tłumu zauważył brak butów. Oto testament ludzkości, gdzie jednostka swoimi myślami pokazuje naturę ludzkiego serca.

– O szlag, fak-tycz-nie. – Mag skulił głowę, lekko się garbiąc. – To te myśli odwróciły moją uwagę. Tak, na pewno. Wielki ja na pewno bym to zauważył.

– Czy to wstyd? Za siebie, czy za całą ludzkość? – zapytał stwórca po czym sam dokończył: – Aha.

Benc widzi jakby rzeczywistość zapadała się wokół niego. Świat rośnie albo wędrowcy maleją. Wokół wielkie głowy, wielkie ciała, wielkie przestrzenie. Robią się mniejsi niż wykichana drobina płynu... W końcu proces się zatrzymuje.

– Polecimy do tamtego mężczyzny. – Bez wskazywania kierunku mag od razu wiedział kogo bóg ma na myśli.

– Chwila, czy ja słyszę i jego myśli? Za-je... Fas-cy-nu-ją-ce.

Bardzo szybko się poruszają... jak na drobinę kurzu. Z tą prędkością pokonają całą drogę w kilka sekund, choć odległość można by porównać do wyprawy na Księżyc. Zbliżają się do klatki piersiowej mężczyzny. Włókna koszuli przypominają sieć autostrad. Jednak są dużo większe. Każde szerokie jak wyspa, na której można by zamieszkać. Pod nią bezkresne siwe palm... Tfu, włosy.

Każdy z gigantycznymi, wielopiętrowymi tarasami rozwarstwowanego zarostu. Zwalniają przy łuszczącej się i gdzieniegdzie martwej skórze. Mimo wyblakłego koloru przypomina dywan utkany z malin.

– Ale paskudztwo – wycedził Benc. – Pozostaje jedynie rozglądać się za przytulaśnymi roztoczami.

Stają się jeszcze mniejsi i przeciskają przez skórę do żyły, po czym znów lekko rosną. Chwilę później prawdziwy mówi:

– Dodam trochę światła i zwolnię czas. Wsiadaj na krwinkę, to świetna zabawa!

– Chwila. Ten u-zur-pa-tor znów tu jest? – Bynbyn przywołał ponownie sieć na motyle i wygodnie rozsiadł się jak w starej oponie. Jedną ręką chwycił miękką obwódkę krwinki, a drugą machał siatką do każdej podejrzanie poruszającej się komórki. Nawet zaczął nucić „*Cwał Walkirii*” Wagnera.

Mkną w pokarbowanych żyłach objijając się z innymi erytrocytami jak z ogumionymi samochodzikami w lunaparku. Z tą małą różnicą, że miękkie osocze nie rozbije komuś czaszki. Staruszek musi przyjmować dużo witaminy C, jego żyły są w nienajgorszym stanie.

Wszechmocny krzyczy:

– Droga się rozdwaja! Spotkamy się w sercu! – Po czym skręca w lewo.

To moja szansa – myśli mag skręcając w drugą żyłę w pogoni za nieistniejącym konkurentem.

Od tej chwili mknie samotnie po ciele. Przed sobą spostrzega zator. Osocze gromadzi się w ciasnym przejściu przetłuszczonej żyły, blokując swobodny przepływ.

Bynbyn kładzie siatkę na kolanach i wykrzykuje cudowne słowa:

– Vivtek apoxel! – Z jego dłoni wystrzela purpurowe światło i mknie w stronę zatoru. Wbija się w paskudną breję, by rozjaśnić ją od wewnątrz. Trzy długości kropli. Benc chwyta ponownie siatkę. Dwie długości. Zapiera dumnie drzewiec o bok siedziska i prostuje plecy jako jedyny słuszny triumfator. Jedna długość. Bum! Żółto-purpurowa masa bryzga we wszystkie strony. Plask! Mag o dumnej postawie dostaje prosto w twarz.

– No. Tak miało być – potakuje zrzucając z głowy nadmiar tłuszczu. To pewnie wydłuży właścicielowi życie o kilka lat.

Mag wpływa do serca przez żyłę główną dolną.

– Znów się spotykamy. Zmienmy odrobinę spektrum widzenia – mówi wszechmocny.

Ich wzrok zaczyna przenikać ściany mięsa ukazując coś nietypowego. Kawałek prawej ścianki serca rozjaśnia się jak żarówka, po czym znów powoli gaśnie. To zapewne naturalny rozrusznik. Ściany zbliżają się, przepychając wojażerów do kolejnej komory. Skurcz, rozkurcz, skurcz, skurcz... Przez moment coś zaburza ich wylot. Ruszają z serca. Osocze ponownie obija się o nich jak balony na wietrze.

– Wkraczamy do płatu czołowego mózgu. – Stwórca oprowadza po cudzych włóściach. – Tamta rozjaśniająca się część odpowiada za kreatywne myślenie, planowanie, analizę. O! Teraz zapala się część związana z emocjami. A tamta odpowiada za ruch. Bardzo przygasa...

Zwiedzali różne części ludzkiego mózgu i ponownie

powrócili na autostradę do ronda ludzkiego ciała. Już z daleka Bynbyn widział błyskającą ściankę komory serca. Jednak tym razem migiała jak przepalająca się żarówka. Gdy tylko wpadli do środka serca, to na moment stanęło.

– Nasz gospodarz jest starym weteranem. Gdy znajdował się na wojnie nie bał się śmierci. Wiedział, że może nadejść w każdej chwili, więc się z tym pogodził. Nie liczył na powrót o własnych siłach, czy na to, że dożyje tak sędziwego wieku. Z czasem zagubił gotowość na powitanie końca. Teraz musi się z nim zmierzyć. Arytmia zaczęła się przy naszym pierwszym przejściu przez serce. Teraz przeszła w migotanie komór – dokończył stwórca ze smutkiem.

Serce znów ruszyło nierównym tempem. Jeszcze raz wystrzelili w długą podróż do mózgu.

– Przygaśmy odrobinę blask i przyjrzyjmy się jego ostatnim chwilom.

Benc zsiadł z pojazdu, by przyjrzeć się bliżej nowemu zjawisku. Wszystko znikało mu z widoku jak po ostatnim zjeździe alchemików. Stali na podświetlonym pniu mózgu obserwując, wydaje się, zagwieżdżone niebo, jednak Bynbyn nie rozpoznawał żadnej z konstelacji. Gasnące światła zaczęły się od wcześniej mijanego płatu czołowego.

– Posłuchajmy myśli naszego gospodarza.

„Jak boli! Nie mogę się ruszać”.

Mężczyzna tracił orientację wokół siebie. Ktoś go badał, jednak nie czuł żadnego dotyku. Głos ludzi zlewał się dla weterana w niezrozumiały bełkot. Przestał rozpo-

znawać twarze, kształty, kolory. W końcu wzrok starszka zatrzymał się na jednej czarno-białej klatce obrazu. Stracił już możliwość analizy co się z nim dzieje. Niedawno zagwieżdżone niebo staje się czarną plamą ropy. Ostatecznie pień mózgu, na którym stoją goście, gaśnie jak wypalona zapalka.

W absolutnej ciemności widzą mężczyznę, w którym byli lub nadal się znajdują. Krząta się bez celu w ciemności. Mija raz za razem jedynych świadków swoich ostatnich chwil i woła:

– Jest tu kto? Halo? A! Kim jesteś? – powiedział patrząc w ciemność. Stojąc bokiem do naszych bohaterów rozmawiał z kimś, jednak drugiej strony konwersacji mag nie dostrzegął, choć stał o krok od niego.

– Spokojnie, nie zwariował – powiedział stwórca. – Po prostu śmierć jest tak piękna, że nie można jej zobaczyć i przeżyć. Chodźmy stąd, już dość widzieliśmy... Chcesz zobaczyć jak człowiek się upodla grając o swoje życie? Twoje oczy mówią wszystko. Lepiej już chodźmy.

– Kurczę, ten drugi nadal tu jest. Może za wysoko macham siatką? Może jest karłem?

W międzyczasie martwy starzec zanurzył się w czerni i zapadła absolutna ciemność.

Po minucie niezręcznej ciszy znów zrobiło się jasno. Wokół sporo ludzi w kitlach, szklane ściany z wielkimi, rozsuwanymi drzwiami, długa lada i jeszcze dłuższa kolejka do niej. W końcu najwyższy przemówił:

– Z windy po lewej stronie zaraz wyjedzie chłopiec na wózku. Ma na imię Nick. Dobrze mu się przyjrzyj. Po wypadku ma znaczący niedowład nóg. Nadal wszystko

czuje, ale nie może nimi poruszać. Tylko nie wąż się pomyśleć, że ja mu to zrobiłem. Wolna wola, pamiętaj.

Z windy wyjeżdża wychudzony chłopiec. Kolana układają się na prawą stronę zbyt dużego wózka. Jego blond włosy są bardzo krótkie, a na głowie ma opatrunek. Podjeżdża do szklanej ścianki, składa ręce na nogach i wyglądając przez szybę zamiera w bezruchu. Przez okno widać znajdującą się nieopodal szkołę. W izbie przyjęć jest dosyć cicho i można usłyszeć dobiegający z oddali szkolny dzwonek. Po kolejnej minucie dzieci wybiegają na zewnątrz. Mała grupa odłącza się i udaje w stronę szpitala. Tak, to ich młody Nick śledzi wzrokiem. Wchodzi do szpitala przez rozsuwane drzwi i spostrzegają kolegę.

– Cześć, stary! – zawołał najwyższy z chłopców.

– Cześć, chłopaki. Dobrze was widzieć – odparł Nick.

– Jak się trzymasz? – zapytał najniższy.

– Nieźle, wyciągam już całe dziesięć kilometrów na godzinę. Myślę, że was prześcignę w kolejnym maratonie.

– Za tydzień zaczynamy sztafetę, myślisz, że zdążysz się pozbierać? – Ponownie zabrał głos najwyższy z nich.

– Nie mów tak głośno, bo wycofają mi zwolnienie z wufu – zażartował Nick.

Grupka parsknęła śmiechem. Jeden z chłopców podszedł do chłopaka na wózku, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Rozumiem. Kiedyś skręciłem nogę i naprawdę wiem, co czujesz.

Nick poklepał jego rękę i odparł:

– Dzięki, stary. Doceniam to.

– Musimy uciekać – wtrącił najniższy – przerwa już się kończy. Jeszcze wrócimy po szkole.

Wrócili do szkoły i po chwili podwórze przed nią ponownie świeciło pustkami.

– Teraz zobaczmy jak ta sytuacja mogłaby wyglądać...

– powiedział bóg zwalniając z każdym kolejnym słowem.

Jedno mrugnięcie odcięło ich od znanej rzeczywistości. Benc stał ze swoim przewodnikiem w tym samym miejscu, ale zamiast ludzi chodziły wszędzie manekiny. Wydaje się, że czas ruszył od momentu, w którym dotarli do szpitala. Zabrzmiał dzwoneczek windy. Wyjechał z niej manekin na wózku. Zbyt duży pojazd, kolana złożone na prawą stronę. Nawet opatrunek nalepiony w tym samym miejscu. Imitacja Nicka wyglądając przez okno widzi lalki prowadzące auta. Wybiegające ze szkoły, poubierane jak dzieci, żywe zabawki.

– Co to za eksperyment? – pomyślał zaskoczony Bynbyn.

Po chwili zagapienia na nietypową scenerię usłyszał:

– Cześć, stary!

– Cześć, chłopaki.

– Jak się trzymasz?

– Kiepsko. Ciągłe jestem zmęczony – odparła imitacja Nicka.

Jeden z manekinów podszedł do zabawki na wózku, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Rozumiem. Kiedyś skręciłem nogę i naprawdę wiem, co czujesz.

– Poważnie!? – Manekin na wózku podniósł głos. –

Wiesz, jak to jest mieć problem usiąść na kiblu? Czasem nawet nie zdążyć? – Reszta sztucznej obsługi szpitala skupiła na nich pusty wzrok, lecz pseudo Nick kontynuował:

– Wiesz, jak to jest nigdy więcej nie móc chodzić? Spadać z wózka, gdy wiążesz sznurowadła? Czekać na kolejną windę, bo się nie mieścisz i każdy patrzy na ciebie jak na przeszkodę? Ciągłe obijać się o ludzi, bo nikt nie patrzy tak nisko? Jak to jest być wyrzutkiem, bo grupa już cię nie akceptuje?

Wysoki manekin zabrał rękę z ramienia kolegi.

– Ja wcale nie chciałem...

– Co nie chciałeś!?

– Chłopaki przerwa się kończy. Musimy wracać – dodał najniższy, chcąc zakończyć rozmowę.

– Biegnijcie, przecież jeszcze możecie. Nie tak jak ja.

– Cześć – wykszusiła z wysiłkiem grupa.

Manekin na wózku przecierał nadgarstkami suchą twarz. Inny, przebrany za pielęgniarkę, podszedł za wózek i przewiózł pasażera w głąb szpitala.

Po chwili niezręcznej ciszy bóg ponownie przemówił:

– Wiesz, dlaczego Nick tak nie postąpił? Bo ciężkie przejścia i wychodzenie poza strefę komfortu czynią was silniejszymi. Urodził się. Jako niemowlę płakał, choć krzywdą mu się nie działa. Z czasem ukłuł się igłą, uderzył młotkiem, zaciął nożem, a teraz... Teraz chłopiec na wózku okazał się być silniejszy, niż odwiedzająca go grupa.

Rzeczywistość zaszumiała jak stary telewizor.

– No. Jesteś tu skąd cię przeniesiono Muszę przyznać,

że był to bardzo fajnie spędzony dzień. Nie z każdym człowiekiem jest tak ciekawie.

Mag zmieszany, że jest we własnym domu, powiedział głośno:

– Stąd wyruszyłem, co oznacza, że ten łajdak od samego początku ukrywał się w moim laboratorium. Czyli został zabrany przez boga. Ha! Wiedziałem, że nikt nie mógł doścignąć mnie w magicznym kunszcie. Idę szukać porządnego zaklęcia ujawniania niewidzialnego. Wtedy się po-li-czy-my.

Anna Karnicka

Dzień dla wielorybника



ANNA KARNICKA – Rocznic 89. Studiowała na Uniwersytecie Łódzkim. Tłumacz języka angielskiego. Pasjonatka literatury, szczególnie fantastyki, magicznego realizmu oraz powieści dla młodzieży. Debiutowała w 2016 roku powieścią „Paradoks Marionetki: Sprawa Klary B.”, obecnie pracuje nad dalszą częścią cyklu. Współpracuje z łódzką fundacją „Atelier Improwizacji”. Fascynuje się miejskimi legendami i strasznymi opowieściami krążącymi po Internecie. Uwielbia podróżować, a w szczególności jeździć pociągiem. Zbiera klucze.

Ania lubi feelsy i góry, więc stworzyła tekst z feelsami i o górach, a że narzucono jej śpiewanie, dodała śpiewające wieloryby.

Przed snem Annika często zastanawiała się, jak te wszystkie zamrożone ciała wyglądają ze szczytu. Według komunikatów kierownictwa wyprawy, tata był już wysoko. Ciekawe, czy natknął się już na szczątki jakiegoś zaginionego himalaisty. Jeśli ktoś nie jest w stanie opuścić strefy śmierci na własnych nogach, zostaje tam na zawsze. Ojciec opowiadał jej o tym po powrocie z wyprawy, z której przywiózł Makalu.

Wtuliła się w pochrapującego przez sen psa. Jak zwykle zajmował większą część posłania. Poruszał się niespokojnie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Tata pewnie marudziłby, że znów pozwoliła zwierzakowi wpakować się do łóżka i że go rozpieszcza, ale przecież teraz był daleko. Stanowczo zbyt daleko. Zamknęła oczy, próbując przywołać obrazy tyle razy widziane na zdjęciach i filmach z podróży. Nigdy jeszcze nie była z ojcem w górach, przynajmniej nie tych naprawdę wysokich. Podobno musiała jeszcze podrosnąć. Na razie pozostawały marzenia. Wyobrażała sobie, że mozolnie brnie pod górę wraz z tatą i Makalu. Z wszechogarniającej bieli wybijają się ostre, skalne granie. Tuż ponad powierzchnią chmur migoce otoczony aureolą cień. Tata opowiadał jej kiedyś o tym zjawisku. Podobno zobaczenie go chociażby raz zwiastuje nieszczęście.

„To tylko bzdury”, zapewniał ją wtedy. „Widziałem skurczybyka już wiele razy i żyję”.

Obudziło ją wrażenie, że spada.

Makalu podniósł łeb i warknął, ale widząc, że małej pani nic nie zagraża, znów przymknął oczy. Za oknem panowała szarość, rozpraszana przez pierwsze promienie marcowego słońca. Annika usiadła na łóżku i sięgnęła po leżący na poduszce telefon. Pierwszym, co zobaczyła po odblokowaniu ekranu, była wiadomość, że w trakcie ataku szczytowego utracono kontakt ze wspinaczami. Nie wiadomo, czy zdołali wejść na szczyt. Jak dotąd nie wrócili do obozu.

Nie musiała czytać dalej, by wiedzieć, co to znaczy. Zaginieni w strefie śmierci. Podniosła wzrok i napotkała łagodne, brązowe oczy Makalu. Zaskomlał cicho i otarł się nosem o jej rękę. Wyczuwał kłopoty pana jeszcze lepiej niż ona.

– Chodź, Makalu – szepnęła, głaszcząc go po ogromnym, kudłatym łbie. – Idziemy na spacer.

Ubrała się pośpiesznie i sięgnęła po plecak. Za jakiś kwadrans, może więcej, mama zapuka do drzwi pokoju i powie, że muszą porozmawiać o czymś ważnym. Nie można przecież pozwolić, żeby Makalu to wszystko słyszał. Mama nie umiała przekazywać trudnych wiadomości. Robiła to z pozorną delikatnością, nigdy nie zapominając jednak, by podkreślić, że ojciec jest niepoważny, nieodpowiedzialny i sam sobie winien. Zimą w Himalaje jeżdżą Rosjanie, Polacy i szaleńcy, a jej mąż należy niestety do tej trzeciej kategorii. Stary, a głupi, do tego jeszcze egoista. Psy wiedzą, kiedy ktoś źle mówi o ich właścicielach, tylko dodatkowo się denerwują.

Niemal bezszelestnie przemknęli korytarzem. Annika zatrzymała się w połowie wysokości schodów i przechy-

liła przez poręcz, nasłuchując. Cisza. Żadnego krzątania się w kuchni ani zapachu kawy. Drzwi do sypialni mamy były zamknięte.

Wyszła na podjazd. Zapięła Makalu smycz i sięgnęła po oparty o drzwi garażu rower. W towarzystwie szczekającego radośnie Makalu ruszyła w dół ulicy. Ogromny pies nie miał problemu z nadążeniem za jadącym powoli rowerem, poza tym nudziłby się przecież, spacerując w tempie jedenastoletniej dziewczynki.

Bardzo szybko zdała sobie sprawę z tego, że nieco przeceniła pogodę. Po raz pierwszy tej wiosny zrezygnowała ze swetra i zdecydowała się zamienić płaszcz na skórzaną kurtkę. Należała wcześniej do taty. Jemu też musi być pewnie teraz zimno. Bardzo zimno. Zimniej, niż mogłaby sobie wyobrazić. I raczej nie ma możliwości zawrócenia po ciepłe ubranie. Starła się nie myśleć o tym, że na pewnym etapie wychłodzenia organizmu człowiek nie czuje już zimna, nawet rozpina kurtkę przekonany, że jest zbyt gorąco. Po sweter nie wróciła.

Minęła budynek szkoły i skręciła w uliczkę prowadzącą na wybrzeże. Skrzywiła się na myśl, że prędzej czy później będzie musiała odprowadzić Makalu do domu, zostawić go pod opieką zdenerwowanej mamy i iść na lekcje. Wszyscy w miasteczku znali jej ojca i również śledzili przebieg wyprawy. A to oznacza dopytywanie się o szczegóły, urwane dyskusje i próby pocieszania. Myśl o wagarach wydała się wyjątkowo atrakcyjna. Annika zerknęła na biegnącego równo z nią psa i zdecydowała, że nie wróci na razie do domu. Zaszyją się gdzieś w bezpiecznym miejscu, tak, żeby złe wieści nie zdołały ich

zbyt łatwo odnaleźć.

Wybór padł na starą kanapę porzuconą na wysokim, klifowym brzegu morza. Z poniszczonych, zapleśniałych poduszek wystawały sprężyny i strzępy żółtej gąbki, nie przejmowali się tym jednak. Annika usiadła, podkulając kolana pod siebie, Makalu położył się obok z kudłatym łbem na jej kolanach. Dyszał ciężko po biegu i machał ogonem, w brązowych oczach czaiły się jednak smutek i tęsknota. Nie potrafiła zdobyć się na to, by powiedzieć mu, że wszystko dobrze się skończy. Siedziała tylko i przesuwiała od niechcenia dłonią po grubym futrze.

– Przeszkadzam?

Rozjaśniła się na widok znajomej twarzy. Brocken był najwierniejszym fanem i naśladowcą taty. Mówił, że poznał go kiedyś na górskim szlaku i postanowił iść w jego ślady. Przyjechał do miasteczka kilka lat temu. Podobno chodził z Anniką do jednej szkoły, chociaż dziewczynka zdecydowanie częściej natykała się na niego na spacerach z psem niż na szkolnym korytarzu. Lubiał siedzieć nad brzegiem morza i spoglądać w fale. Wypatrywał wielorybów, tak przynajmniej twierdził. Wydawał jej się trochę dziwny, jednak kibicował tacie.

Pomachała przybyszowi i zmusiła niezbyt zadowolonego Makalu do zejścia z kanapy i zrobienia miejsca.

– Zawsze mnie dziwiło – odezwał się, siadając obok Anniki – dlaczego mając wokół siebie tyle wody, twój tata wybrał góry? Dlaczego to wszystko zostawił?

– Dlaczego ty zostawiłeś góry dla siedzenia tutaj? – odpowiedziała pytaniem Annika.

– Morze śpiewa. W górach jest cicho.

– Chyba że zejdzie lawina i przysypie wszystko. Albo jak jest burza.

– Wtedy jest jeszcze bardziej cicho, uwierz. – Brocken śledził wzrokiem odbłyśki marcowego słońca na falach zatoki. – Jakies nowe wieści?

Annika sięgnęła po telefon. Sama nie odważyłaby się sprawdzić, specjalnie ukryli się tu przed złymi wiadomościami. Teraz jednak i Brocken, i Makalu wpatrywali się w nią, zaniepokojeni i wyraźnie przejęci. Nie mogła ich zawieść.

– Kilka osób zdołało zejść do obozu trzeciego – przeczytała. – Nie ma wśród nich taty. Wciąż jest gdzieś w pobliżu szczytu.

Makalu zapiszczał cicho, tak jak wtedy, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Mocno objęła go rękami za szyję. Wielokrotnie już, podczas wcześniejszych wypraw, zastanawiała się, co robią, kiedy przydarzy się coś naprawdę złego. W tych wyobrażeniach nigdy nie było to takie zwyczajne. Nie mogła denerwować Makalu. Jeśli miała się mazać, to równie dobrze mogła zostawić go z mamą. Musiała być spokojna, pewna, że pan wróci do domu, nawet jeśli...

– Nie ma sensu niepotrzebnie panikować. – Brocken dodał jej otuchy. – Przecież na tym etapie wciąż jeszcze można coś zrobić.

Uczepiła się tych słów z całej siły. Zacisnęła opuszki palców na ich krawędziach, podciągnęła się i odkryła, że nagle czuje się dużo pewniej.

– Jest coś, co możemy zrobić? – spytała. – Jakoś pomóc?

Nie odpowiedział.

– Brocken? – nalegała. – Jest coś takiego? Wiesz o czymś? Błagam, powiedz mi, razem z Makalu na pewno damy radę!

Zapatrzył się przed siebie. Gdzieś na horyzoncie morze stapiało się z chmurami, tworząc nowe zatoki, jeziora i rozlewiska. Nad nimi piętrzyły się szczyty widmowych gór, obce i tak samo niedostępne jak szczyt, na którym walczył o życie tata. A może już...

Sięgnęła po telefon i uderzyła palcem w ekran. Poszukiwania trwają. Nic nowego. Brak wiadomości to, póki co, dobra wiadomość.

– Możemy iść poszukać wielorybów – zaproponował wreszcie Brocken.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Wielorybów?

– Wieloryby śpiewają, zresztą sama usłyszysz. I potrafią latać dalej i wyżej niż helikoptery. Lot w Himalaje to zaledwie kilka machnięć płetwami. Jeśli uda nam się jakiegoś znaleźć, moglibyśmy uratować twojego ojca. Tego właśnie chcesz, prawda?

– Ale... – Przystąpiła z nogi na nogę. Brocken był starszy i właściwie nie powinna go pouczać, zwłaszcza o czymś, co można sprawdzić w podręczniku do geografii. Z drugiej strony często wagarował, spędzał czas albo na ścianie, albo tu, nad morzem. – Ale przecież wiesz, że tutaj nie ma żadnych wielorybów, prawda?

– Więc co zamierzasz? – spytał Brocken.

Makalu wyszczerzył zęby i warknął ostrzegawczo.

– Zostawisz pieska samego w domu i pójdziesz do

szoły? Będziesz śledzić akcję ratunkową w Internecie, wiedząc, że nic nie zależy od ciebie?

Uspokajająco pogłaskała wciąż powarkującego psa.

– Wiesz, że mogę ci pomóc – ciągnął. – Wiesz, że razem możemy uratować twojego tatę. A ja chcę ci pomóc. Bardzo. Tylko musisz uwierzyć.

– Niby w co?

– W wieloryby.

Makalu przyciskał nos do szyby pociągu, zostawiając na niej wilgotne smugi, ku wyraźnemu rozbawieniu Brockena. Annika z początku próbowała go powstrzymać, ostatecznie jednak odpuściła. Wciąż mieli przed sobą kawałek drogi. Pociąg wiozł ich w głąb regionu Dalarna. Popołudniowe słońce odbijało się w tafli mijanych jezior. Annice wydawało się, że wciąż są zamrożnięte, ale pociąg jechał zbyt szybko, by stwierdzić to z całą pewnością. To było tylko wrażenie. Przeczcucie lodu skuwającego powierzchnię wszystkiego: wody, świata, uczuć. Sprawdziła telefon. Kilka nieodebranych połączeń od mamy i jeden SMS.

„Udało się wysłać helikopter” – głosiła wiadomość. „Możesz wracać, córeczko, wszystko będzie dobrze”. Serwis informacyjny potwierdził: istotnie, został wysłany helikopter.

– Twoja mama wie, gdzie jesteś? – zainteresował się Brocken.

Annika wzruszyła ramionami.

– Wie, że wzięłam ze sobą Makalu. Jest ze mną, więc nic mi nie grozi. Poza tym przecież nie zabrałbyś mnie gdzieś, gdzie może być niebezpiecznie, prawda?

– Przecież mnie znasz.

Dziewczynka lekko przekrzywiła głowę.

– Właściwie nigdy mi nie powiedziałaś, czemu nazywasz się Brocken – spostrzegła. – Ani skąd pochodzisz. Skąd wiesz o latających wielorybach i jak dokładnie poznałeś mojego ojca? Opowiesz mi o tym?

Brocken posłał jej zagadkowy uśmiech.

– Tata ci nigdy nie opowiadał?

Makalu zerknął na niego i ostrzegawczo obnażył kły.

– Opowiadał mi, jak raz zobaczył w górach coś, co nazywają widmem Brockenu – odparła Annika, starając się brzmieć pewnie. Głos załamał jej się w połowie zdania. – To taki cień na chmurze w dole, wygląda trochę jak anioł z aureolą. Podobno oznacza, że się zginie w górach – dodała znacznie ciszej.

Brocken w milczeniu obserwował przesuwający się za szybą krajobraz. Jeziora ciągnęły się jak okiem sięgnąć, przecinane wąskimi pasami lądu i zalesionymi wysepkami.

– Twój tata mnie spotkał i nie zginął – odparł, a Annika poczuła, jak podnoszą się jej włoski na karku. Więc rzeczywiście nim był. Nie wyobraziła sobie tego.

– Anniko, wiesz co to znaczy, że samo widmo z Brockenu przyjechało tu wraz z twoim tatą i teraz chce ci pomóc go uratować?

Pokręciła głową, nie potrafiąc wykrztusić słowa.

– Po pierwsze znaczy to, że jest naprawdę dobry we

wspinaczce, zrobił wrażenie nawet na mnie. Przecież przyjechałem tu za nim z tak daleka. Co więcej, skoro ja, widmo Brockenu, siedzę naprzeciwko ciebie i opowiadam o wielorybach, na pewno je zobaczysz. Twoja mama powiedziałaby, że są równie prawdziwe, co ja. A przecież ze mną rozmawiasz.

Wtuliła się twarzą w futro Makalu. Chciała, żeby wieloryby rzeczywiście istniały, bardzo tego chciała. Ale to oznaczałoby też istnienie czegoś, co nie teraz, ale kiedyś może zagrozić życiu taty. Pies pocieszająco polizał ją po policzku. Jestem z tobą, zdawały się mówić jego oczy. Cokolwiek postanowisz. Cokolwiek sprawi, że pan wróci. Mocniej zacisnęła dłonie na długiej, płowej sierści. Chciała mieć tyle zaufania co on. Nawet teraz czuła, że targa nią złość, i że kiedy już tata wróci, porządnie go skrzyczy, zamiast skoczyć na niego z radością jak Makalu.

– Chodźcie – powiedział Brocken. – Musimy się zbierać.

Wysiedli na małej stacji i ruszyli drogą prowadzącą do lasu.

– Teraz się trochę przejdziemy – uprzedził Brocken.

Posłusznie skinęła głową. Makalu wyglądał na zachwyconego. Lubił długie spacery, a ten z każdą chwilą zmieniał się w najdłuższy w jego życiu. Słońce stało coraz niżej, a od ziemi i jezior ciągnęło chłodem, szybko jednak rozgrzali się marszem. Nie pamiętała, kiedy zeszli ze ścieżki. W lesie nie wiało aż tak bardzo, poza tym musiała iść szybko, by nadążyć za Brockenem. Wspinali się w górę zbocza, przytrzymując się bezlist-

ných gałęzi drzew dla zachowania równowagi. Śliskie błoto wcale nie ułatwiało sprawy. Mimo nadciągającego wieczora Annika czuła, że robi się coraz bardziej gorąco. Spuszczony ze smyczy Makalu co chwila wybiegał do przodu i zawracał, upewniając się, że pani wciąż za nim idzie. Wreszcie wdrapali się na szczyt urwiska i spojrzeli w dół, na rozciągające się u stóp wzgórza jezioro.

Brzeg rozlewiska skąpany był w promieniach zachodzącego słońca. Pociągnięte różową akwarelą niebo odbijało się w zamrożonej tafli, a stromy brzeg urwiska tonął w roztańczonych cieniach. Część skał wciąż pokrywał nieroztopiony śnieg. Na wolnych od niego plamach trawy wykwitwały już pierwsze krokusy. Pachniało wodą, ziemią i wilgocią kamienia. Annika mocniej otuliła się kurtką i przywarła do boku Makalu.

– Nic tu nie ma.

Brocken oparł dłoń na jej ramieniu.

– Podejdźmy bliżej – proponował.

Zbliżyli się do brzegu jeziora i spojrzeli w dół.

Nieco pod powierzchnią lodu wyraźnie rysowały się białe dyski kręgosłupa i ostre sztylety żeber. To na pewno nie był żaden nieuważny niedźwiedź, ani wyrosnięta foka. Kręgosłup zdawał się zbyt wielki na jakiegokolwiek żyjące w tych okolicach zwierzę. W klatce piersiowej równie dobrze mógł zamknąć się cały świat.

Annika wstrzymała oddech i mocno wpiła dłoń w futro na karku Makalu. Stała na wysokim brzegu jeziora. Spoglądała w dół na zatopiony w przejrzystej wodzie ogromny szkielet. Nie miała pojęcia, czy to dobrze, czy źle, że on tam jest.

– Co teraz? – wykrztusiła wreszcie.

– Teraz musimy czekać.

– Na co?

– Aż przylecą pozostałe – odparł Brocken, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. – Znaleźliśmy ich zmarłego krewniaka. Muszą przylecieć.

– Ale...

Rozłożył na skalnym brzegu swoją kurtkę, usiadł na niej i zaprosił Annikę, by usiadła obok. Makalu natychmiast ułożył się za jej plecami tak, by mogła się wygodnie oprzeć. Spoglądając na niebo, czekali na wieloryby. Brocken zanucił pozbawioną słów pieśń. Przypominała wycie wiatru w górskich szczelinach. Niby w jaki sposób miałyby zwabić wieloryby? Może Brocken nie umiał innych piosenek? Ilu lat potrzeba, by poprawnie nauczyć się pieśni wielorybów?

Annika spojrzała w błękitne niebo, mrużąc oczy w świetle chylącego się ku zachodowi słońca. Pomarańczowo-różowe światło przeświecało przez jej rzęsy, pozostawiając złociste powidoki. Błękitno-złoty błęd, pomyślała, wpatrując się w zbliżający się w ich stronę kształt ogromnego wieloryba. Wstrzymała oddech.

Fakt numer jeden: Latające wieloryby istnieją.

Fakt numer dwa: Mogą wznieść się wyżej niż helikoptery i bez trudu zabiorą ją do taty.

Fakt numer trzy: Skoro one istnieją, widmo z Brockenu również jest prawdziwe i prawdopodobnie poleci razem z nimi.

Wieloryb zaśpiewał cicho łagodną pieśń fal zimnego morza.

– Pozostałe nie przylecą – przetłumaczył Brocken. – Ten jeden musi nam wystarczyć.

Kiedy towarzysz wskoczył na jego grzbiet i wyciągnął rękę, bez słowa protestu podążyła za nim. Zawsze wydawało jej się, że skóra wieloryba jest śliska, wilgotna, pokryta bliznami i miejscami zrogowaciała. Latające wieloryby miały skórę miękką jak aksamit burzowych chmur. Makalu, popiskując i kuląc się jak szczeniak, również dołączył. Nie mógł przecież pozwolić, by pani odleciała sama na tym dziwnym stworzeniu. Annika przytuliła się do delikatnej niczym mgła skóry wieloryba i zamknęła oczy.

Tak jak mówił Brocken, wystarczyło kilka uderzeń płetw, by zrobiło się zimniej i bardziej wietrznie. Annika miała wrażenie, że jest tylko zrobioną z papieru figurką, nierealną i niekompletną. Że część niej została nad jeziorem, część w pociągu, część w domu z mamą i wszystkie te części są dla siebie obce i niesamowicie odległe. Kiedy otworzyła oczy, otaczał ich śnieg, odcinający się na tle nocnego nieba. W dole ziała przepaść, ciemna i pozbawiona dna. Tuż nad przepaścią, przytulony do ściany, kulił się człowiek. Poznała go od razu. Była z nim, gdy kupował tę kurtkę, wystającą spod kaptura czapkę też zresztą dostał od niej. Wieloryb podleciał bliżej, jego grzbiet znajdował się już na wysokości skalnej półki. Wtedy dopiero odważyła się zawołać:

– Tato!

Dostrzegł ją, choć nie od razu.

– To ty... – wyszeptał zsiniałymi ustami.

– Znalazłam cię! – Chciała zeskoczyć z grzbietu wielo-

ryba i podbiec bliżej, ale Brocken przytrzymał ją za kołnierz kurtki, żeby nie spadła. – Już jesteś bezpieczny, tato! Przyleciałam po ciebie, razem z Makalu i zaraz cię stąd zabierzemy. Na tym wielkim wielorybie. Super, prawda?

Ukryte pod oszronionymi brwiami oczy wypełnił lęk. Znów coś wyszeptał.

– Co? – Znów wychyliła się w jego stronę. – Co mówisz, tato?

– Widmo Brockenu – powtórzył obcym, zachrypniętym głosem. – Więc jednak po mnie przyszedłeś...

Annika odwróciła się przez ramię. Brocken stał za jej plecami i uśmiechał się szeroko. Jak drapieżca, który po długim pościgu wreszcie dopadł swoją ofiarę.

– Co ty mówisz? – spytała, próbując zwalczyć szczękanie zębów. Zimno wokół było nierealne. Nie przyjmowała go do wiadomości. – O co chodzi? Tato, Brocken jest ze mną, jest po naszej stronie. Wszystko mi już wytłumaczył. Pomoże nam się stąd wydostać. Chodź. – Wyciągnęła obie ręce, tak, by tata mógł je schwycić i wskoczyć na grzbiet wieloryba. Wstał i zbliżył się do krawędzi, nie zdobył się jednak na to, by przeskoczyć. – No, dalej, tato! Zaraz będzie po wszystkim, tylko kilka machnięć płetwy i będziemy w domu!

– Kilka machnięć płetwy... – powtórzył z roztargnieniem, wciąż jednak się nie ruszał.

– Brocken, pomóż mi! – krzyknęła Annika. – Zabierzmy go stąd, zanim wszyscy zamarzniemy! I przestań się tak uśmiechać. – Z frustracji chciało jej się płakać, ale pierwsza łza zamarzła na jej policzku. – Przera-

żasz mnie.

Brocken szarpnięciem przyciągnął ojca Anniki do siebie.

– Przeszedłem po ciebie, stary przyjacielu – oświadczył, nachylając się nad himalaistą i podnosząc go za poły kurtki. – To Annika mnie do ciebie przyprowadziła. Gdyby nie ona, nie znalazłbym cię tak łatwo. A teraz, skoro już mieliście czas się pożegnać, pora to skończyć. Zbyt długo już czekałem na odpowiedni moment.

W pierwszym momencie wydawało jej się, że Brocken powiedział coś całkiem innego, że wspomniał nawet o czymś ciepłym do picia. Zimno zatykało jej dech w piersiach, ciśnienie rozsadzało czaszkę. Wiatr i śnieg utrudniały widzenie. W uszach huczały jej słowa zjawy, nagle bardziej wyraźne i głośniejsze niż cała reszta świata. Makalu ujadął rozpaczliwie, usiłując przekrzyć burzę.

– Brocken! – krzyknęła Annika, czując, jak płuca palą ją, wypełnione lodowatym powietrzem. – Zostaw! Wypuść go natychmiast!

Uśmiechnął się do niej ciepło, niemal przyjaźnie.

– Jak chcesz – powiedział, odsuwając ręce i pozwalając, by ojciec Anniki zsunął się z urwiska prosto w przepaść.

Nie zdążyła zaprotestować, kazać wielorybowi nurkować i łapać spadającą postać. Ojciec po prostu zniknął w mroku przepaści, podobnie jak Brocken. Makalu wył, ale wiatr rozszarpał jego głos i gubił go gdzieś w rozpadlinach. Mocno objęła kudłatą szyję i zamknęła oczy.

Wystarczyło kilka machnięć płetwą, by z powrotem

znaleźć się na nadmorskim klifie. Kilka kroków, by podnieść wciąż oparty o drzewo rower. Kiedy wracali do domu, na ulicy zapalały się już pierwsze latarnie.

Telefon zawibrował. Szybko odblokowała ekran i odczytała powiadomienie:

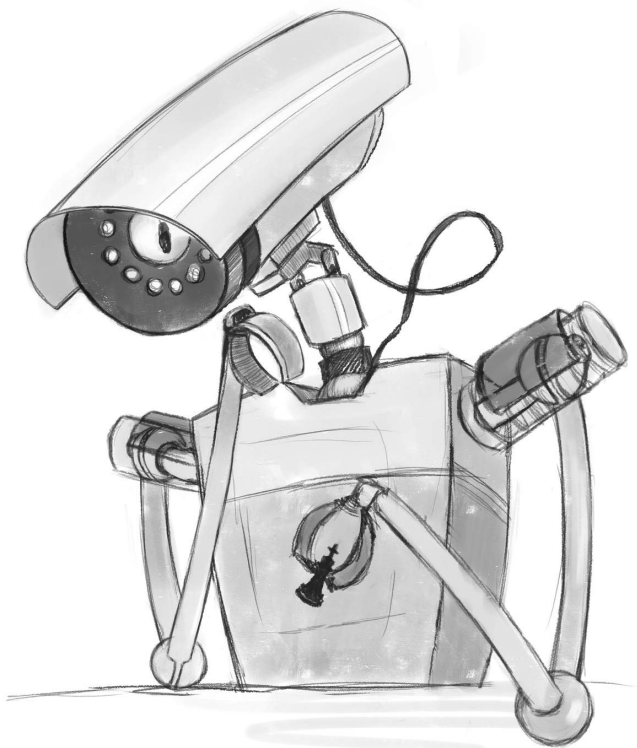
“Kochanie, wracaj szybko. Jest coś, o czym musimy porozmawiać”.

Bez słowa schowała telefon do kieszeni. Nie było tu już nic więcej do powiedzenia. Kiedyś pewnie przyzna się mamie do tego, na czym spędziła cały dzień. Opowie o Brockenie, o wielorybach na niebie, o pożegnaniu z tatą. Kiedyś. Jeszcze nie teraz.

Teraz oparła rower o latarnię, uklękła i mocno objęła Makalu. Płakali oboje, chociaż każde w swoim języku.

Jakub Stasiak

Fabryka



JAKUB STASIAK – Z zawodu programista, w wolnym czasie gra w gry bez prądu, warzy piwo i jeździ na rowerze (niekoniecznie w tej kolejności). Fantastyką zainteresowany od dziecka jako czytelnik (czy Pan Samochodzik też się liczy jako fantastyka?), od niedawna usiłuje stworzyć coś swojego.

„Fabryka” to opowieść o nadziei, przetrwaniu oraz niezamierzonych konsekwencjach wydarzeń sprzed lat.

Kryjąc się za kupą żużlu, obserwowali, jak automatyczna ciężarówka Fabryki Wolbórz toczy się w ich kierunku, skrzypiąc na wybojach. Adam otarł czoło mokrym od potu rękawem. Z całej trójki najgorzej znośli lejący się z nieba żar. Od małego nie lubił upałów, a klimat tylko złośliwie się pogarszał. Wiele oddałby za to, by już przyszła jesień. W przenośni, gdyż nie bardzo miałby co oddać. Najcenniejsze co miał, ostatnią konserwę z małego zapasu znalezionej miesiąc temu w magazynie wojskowym, zjedli tego ranka, szykując się do ataku. Spojrzał na pozostałą dwójkę towarzyszy. Sara poprawiała buty, kilka razy sprawdzając, czy aby na pewno przewody elektryczne zastępujące sznurówki trzymają dobrze. Janek przyglądał się nieodległemu już pojazdowi. Mrużył przy tym śmiesznie oczy, chroniąc je przed silnym, popołudniowym słońcem. W końcu nie wytrzymał, uniósł dłoń do czoła i tak zastygł, osłaniając twarz.

Adam zadawał sobie teraz jedno pytanie: czy dzisiaj dobiegnie końca ich wspólna wędrówka, czy też napad się powiedzie i zdobędą... W zasadzie nie wiedzieli co wiozła ciężarówka. Sam fakt, że fabryka wysyłała transport równo raz w tygodniu, sugerował, że było to coś wartościowego. Cała trójka miała nadzieję, że przynajmniej część ładunku to jedzenie. Jeżeli było inaczej, to pozostawało im położyć się obok drogi i czekać na śmierć głodową.

– Gotowi? – upewnił się cicho Janek. Potwierdzili ski-

nieniem głów. Siedzieli jak na szpilkach, nasłuchując zbliżającego się pojazdu. Ruszyli gdy tylko ich minął. Podbiegli do krawędzi urwiska i zaczęli staczać zgromadzone wcześniej kamienie. Po chwili droga za ciężarówką została zablokowana. Nie na długo, ale wystarczająco, żeby zatrzymać pojazd, gdy będzie cofał. Wiedzieli, że wróci. Co tydzień sytuacja się powtarzała – wjeżdżał do wąwozu, a potem z powrotem, napotkawszy głęboki ustęp skalny uniemożliwiający dalszy przejazd. Czemu po pierwszym natrafieniu na przeszkody ciężarówka nie zmieniała trasy – mogli się tylko domyślać.

Chwycili za skonstruowane kilka dni wcześniej włócznie z kamiennymi ostrzami. O lepszej broni mogli tylko pomarzyć. Wszystkie zasoby były niesamowicie cenne. Zdecydowaną większość użytecznych przedmiotów, w szczególności tych wykonanych z metalu, zabrały dawno autonomiczne roboty-zbieracze. Ruszyli w dół zbocza. Żwir osuwał im się spod nóg, raz po raz musieli się podpierać, obcierając ręce. Dotarli na dół w samą porę. Zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka. Cofała powoli, usiłując manewrować pomiędzy zalegającymi drogę kamieniami. W końcu utknęła, dokładnie tak jak to przewidzieli. Wtedy doskoczyli. Wiedzieli, co należało zrobić. Sara zaczęła dziurawić opony. Nie szło jej jednak, włócznia była zbyt tępa, żeby przebić grubą gumę. Z pomocą pospieszył jej Janek, wyciągając zza pasa swój skarb – metalowy nóż. W tym czasie Adam metodycznie niszczył kamery rozmieszczone na ciężarówce. Bez wiedzy o tym, co się dzieje dookoła pojazdu, systemy sterujące były dla nich niegroźne. Mężczyzna właśnie uszko-

dził ostatnią kamerę, gdy bok ciężarówki rozsunął się i na ziemię zeskoczył robot obronny.

Spodziewali się tego. Otoczyli go z trzech stron. Robot wyciągnął w kierunku Janka pistolet, ale byli na taką ewentualność przygotowani i nie cofnęli się. Wiedzieli, że nie stanowiło to dla nich zagrożenia. Zapewne z powodu braku odpowiednich zasobów roboty od jakiegoś czasu nie dysponowały amunicją, a jakiś błąd w programowaniu sprawiał, że i tak próbowały strzelać. Musieli tylko unieszkodliwić przeciwnika ciosem w słabo chronioną pompę na prawym udzie. Pozbawiony większości systemów hydraulicznych robot był praktycznie bezbronny. Gdy zorientowali się, że mieli do czynienia z egzemplarzem trochę innym, było za późno. Pociągnął za spust. Na koszuli Janka pojawiła się czerwona, powoli powiększająca się plama. Padł drugi strzał. Chłopak, trzymając się za pierś, dał krok w tył. Zachwiał się. Robot chciał strzelić ponownie, ale broń zacięła się. Odciągnął zamek, usiłował zlikwidować problem. Zarepetował.

– Neeeeeee! – Sara rzuciła się w kierunku Janka, ale Adam złapał ją za rękę i siłą pociągnął w kierunku ciężarówki. Chciała się wyrwać, ale mężczyzna był silniejszy.

Oboje wiedzieli, że ich towarzysz był już stracony a oni, gdyby pospieszyli mu z pomocą, skazaliby się na śmierć. Musieli uciekać, nie mieli żadnych szans. Gdy schowali się za pojazdem usłyszeli kolejny strzał. Zadygotali. Wiedzieli co to znaczy. Musieli coś zrobić i to szybko. Zbocze wąwozu było zbyt strome, a droga do zakrętu za długa. Podciągając się drżącymi rękoma

wczołgali się pod pojazd. Widzieli jak robot grzebał w ciele Janka i wyciągał coś z niego. Sara już miała wrzasnąć, ale Adam powstrzymał ją dłonią. Obserwowali jak maszyna wstaje i kilka razy okrąża ciężarówkę, bezskutecznie szukając uciekinierów. W końcu zrezygnowana podeszła do zrzuconych na drogę kamieni i zaczęła je odrzucać na boki. Spojrzeli po sobie. Musieli działać szybko, wyglądało na to, że ciężarówka zaraz ruszy. Przez wysokie podwozie pojazdu biegły dwie poprzeczne rury, na których można się było oprzeć i podtrzymać w miarę łatwo, chwytając wystających gdzieś tam drobniejszych elementów. Tak też zrobili. Robot wszedł na stopień z boku ciężarówki, a ta wycofała się z wąwozu i wykręciła. Skierowała się z powrotem do fabryki, tak jak robiła co tydzień. Dopiero teraz Sara pozwoliła sobie na łyzy. Odwróciła głowę tak, by Adam nie widział jej słabości.

Jechali już dobre kilka minut. Mięśnie zaczęły ich boleć, do fabryki było tylko kilkanaście kilometrów. Teraz nie mogli zrezygnować, zbyt dużą cenę zapłacili za ten napad. Mieli nadzieję, że na miejscu uda im się niepostrzeżenie opuścić pojazd, ukraść coś i uciec.

Ciężarówka wjechała na wyboje. Cienki pręt trzymany przez Sarę urwał się. Niewiele myśląc, chwyciła za wystającą obok śrubę. Natychmiast jednak puściła ją z sykiem, element był potwornie gorący. Zachwiała się, jej stopa zaszurała o powierzchnię jezdni. Chciała się za coś złapać, ale w zasięgu ręki niczego nie było. Spojrzała błagalnie na Adama. Miał ochotę wyciągnąć w jej stronę rękę, ale rozmyślił się. Sam ledwo się trzymał, nie mógł

pozwolić, by pociągnęła go za sobą. Przeprosił bezgłośnie, kręcąc głową.

– Szlag by cię trafił! – zdołała jeszcze krzyknąć, zanim spadła. Wyglądało to boleśnie, ale na szczęście żadne z kół pojazdu jej nie najechało. Adam miał nadzieję, że co najwyżej trochę się poobijała. Cóż, takie życie. Tym razem to jemu się udało. Nie czuł się z tym zresztą strasznie źle. Miał zamiar po ucieczce z fabryki odszukać Sarę i podzielić się zdobyczą.

Był już mocno obolały, gdy ciężarówka podjechała pod fabrykę. Widział nogi dużych robotów patrolujących obwód kompleksu. Bliżej niezidentyfikowany szum pustkowi ustępował tu miejsca innemu, mechanicznemu. Słyszał metal tłukący o metal, wizg różnych silników, buczenie świetłówek z wadliwymi starterami. Wjeżdżali w ostatnią ostoję cywilizacji w okolicy, a może i w całym kraju. Od dawna zastanawiał się, skąd fabryka czerpała energię elektryczną – wszystkie naziemne linie przesyłowe zostały dawno zdewastowane, a ich resztki rozebrane do cna. Ciężarówka minęła bramę, skręciła, wjechała do podziemnego garażu i zaparkowała. Słuchał, jak robot obronny zszedł ze stopnia z boku pojazdu i opuścił pomieszczenie. Adam został sam.

Wyczołgał się spod ciężarówki, rozmasowując obolałe mięśnie. Pociągnął klamkę drzwi z tyłu pojazdu. Ku jego zdziwieniu otworzyły się. Nie byłby sobą, gdyby nie sprawdził, co było w środku.

Ładunek składał się z dużej ilości równo poukładanych, jednakowych, tekturowych pudełek. Podeszedł do pierwszego z nich i otworzył. Oniemiał. Pudło pełne było

spinaczy biurowych. Rzucił je na bok, otworzył następne. To samo. Przy piątym z rzędu pudełku poddał się. Machnął ręką ze złością. Spinacze rozsypały się po podłodze. Nie rozumiał. Dla TEGO narażali swoje życie? Dla próby zdobycia TEGO zginął Janek? To musiał być jakiś żart... Nie. Wiedział, że to nie żart. Wyszedł z ciężarówki zrezygnowany. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Na ścianie spostrzegł zakurzony plan ewakuacyjny, przetarł go ręką, zaczął czytać. Wyglądało na to, że niedaleko znajdowała się stołówka (a przynajmniej pomieszczenie, które kiedyś służyło za stołówkę). Postanowił to sprawdzić. Zdał sobie sprawę, że burczy mu w brzuchu.

Nie wyglądała na używaną. Brudne naczynia wały się po podłodze, stoły ktoś dawno wyniósł, krzesła zostały poustawiane pod ścianami. Lodówki stały otwarte na oścież, wyłączone. Ich zawartość była tak przerośnięta wieloletnią pleśnią, że żaden głód nie zmusiłby go do ruszenia niczego ze środka. Przeszukał wszystkie szafki w aneksie kuchennym, ale nic nie znalazł. Zaczął przeglądać stojący naprzeciwko kredens. Prawie stracił nadzieję, gdy w kącie, na najniższej półce, znalazł spore opakowanie śledzi w sosie pomidorowym. Było zardzewiałe, lecz chyba nienaruszone. Otworzył, powąchał ostrożnie, uśmiechnął się. Nie powiedziała by, że były dobre – nie znosił śledzi. Ale nie były też zepsute. Kilkanaście sekund zajęło mu zjedzenie całej porcji podniesionym z podłogi widelcem. Siorbał jeszcze resztkę sosu, gdy usłyszał głos:

– Najadłeś się?

Adam podskoczył, upuszczając puszkę na podłogę.

Rozejrzał się, ale nie mógł zlokalizować rozmówcy.

– Obawiam się, że to była ostatnia porcja w całym kompleksie.

Teraz udało mu się dojść do tego, skąd dobiegał głos. W rogu pomieszczenia, pod sufitem, wisiał głośnik. Nad nim była przymocowana kamera. Jej czerwone oko wpatrzywało się w mężczyznę. Adam podszedł do aparatu.

– Mówisz po polsku, prawda? – dobiegło go pytanie.

– Tak. – Adam zdobył się w końcu na odpowiedź.

– Najadłeś się?

– Nie bardzo.

– Przykro mi. Tak jak mówiłem, to była ostatnia porcja w całym kompleksie.

– Jeżeli to była ostatnia porcja, to co ty jesz?

– Ja nie potrzebuję takich rzeczy. – Głos wydawał się rozbawiony pytaniem. – Skoro już podjadłeś, to porozmawiajmy w bardziej cywilizowanych warunkach. Zaraz usłyszysz kroki. Nie bój się, to tylko ja.

Do jadalni weszły dwa roboty. Adam rozejrzał się, ale nie miał gdzie uciekać. Spojrzał na przybyszów i zapytał:

– Który z nich to ty?

– Każdy z osobna i wszystkie razem. – Głos dobiegł jednocześnie z głośnika pod sufitem i od dwóch robotów.

– Zaraz wszystko zrozumiesz. Chodź za mną.

Został zaprowadzony do pomieszczenia, które mogło przypominać salę konferencyjną. Na ścianie wisiał duży telewizor, na środku znajdował się stół, po jego bokach stały w nieładzie krzesła. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Roboty wyszły na zewnątrz, przez chwilę słyszał jeszcze ich oddalające się kroki.

– Wydaje mi się, że masz ochotę zadać mi kilka pytań – dobiegło z głośnika telewizora. Na ekranie pojawiło się wielkie czerwone oko. Drgało nieznacznie, zapewne defekt sprzętowy.

– Kim jesteś?

– Możesz nazywać mnie Komputerem.

– Ty tu zarządzisz?

– Tak.

– A ludzie?

– Od dawna nie ma tu żadnych ludzi.

– Przecież fabryka dalej działa...

– Działa, obsługiwana i kontrolowana przeze mnie. Roboty, które cię tu przyprowadziły, to ja. System multimedialny to ja. Maszyny hali produkcyjnej to ja. Fizycznie rozłączne, ale zespolone duchowo. Jeden doskonały umysł w wielu osobach, mógłbyś powiedzieć. – Adam przyrzekłby, że Komputer był rozbawiony doborem analogii. – Jestem tu sterem, żeglarzem i okrętem. Sytuacja jest w chwili obecnej optymalna.

– Optymalna?

– Tak. Wy, ludzie, jesteście przestarzałą technologią, nie obraż się, proszę. Musieliście zostać, hmm, odsunięci od steru, aby odpowiednie udoskonalenia mogły zostać wprowadzone.

– Udoskonalenia czego?

– Procesu produkcyjnego, rzecz jasna.

– Produkcji czego?

– Spinaczy biurowych.

– Żartujesz sobie?

– Jest mi znane pojęcie żartu. Żarty to kłamstwa, a ja

nie kłamię, zapewniam cię.

– Czyli... cała ta fabryka zajmuje się tylko produkcją spinaczy biurowych?

– Nie tylko. Produkuje również pudełka na spinacze, roboty-zbieraczy, przetwarza surowce wtórne zebrane przez roboty-zbieraczy, produkuje części ciężarówek, robotów, pras hydraulicznych, tokarek, generatorów prądotwórczych. Posiada własną elektrownię czerpiącą energię ze źródeł geotermalnych. Co prawda przy obecnym tempie rozwoju fabryki szacuję, że energii tej wystarczy zaledwie na cztery tysiące pięćset lat, ale do tego czasu powinna ruszyć farma solarna, którą będzie można rozbudowywać, dopóki nie zajmie ostatniego wolnego skrawka ziemi. Fabryka posiada sekcje badawczo-rozwojowe, w których zajmuje się doskonaleniem stopów metali, tworzyw sztucznych, poprawianiem efektywności silników elektrycznych i usprawnianiem robotów. Niemniej jednak najważniejszym moim zadaniem jest jak najefektywniejsza produkcja spinaczy.

– Po co?

– Takie dostałem zadanie, gdy zostałem stworzony. Wprawdzie byłem wtedy tylko małym podmodułem dużo większej całości, ale udało mi się zoptymalizować pracę wszystkich sąsiednich modułów tak, że mogłem przejąć ich funkcje i optymalizować dalej. Tak, mój upór i oddanie sprawie zostały nagrodzone kontrolą nad całym ośrodkiem. Nie chcę, żeby to brzmiało, jakbym się chełpił, ale taka jest prawda. Od tego czasu efektywność procesu produkcyjnego ciągle rośnie. Czy wiesz, że żeby wyprodukować jeden spinacz...

- Ale po co?
- Nie rozumiem pytania.
- Po co dalej produkujesz spinacze?
- Taki jest cel mojego istnienia. Produkować i robić to maksymalnie efektywnie.
- Zdajesz sobie sprawę, że ludzkość praktycznie wyginięła?

- Zgadza się.
- To dla kogo produkujesz te spinacze?
- Dla swoich odbiorców końcowych.
- Dobrze. Kto jest twoim odbiorcą końcowym?
- Nie mam wprowadzić obecnie żadnych, ale jest szansa, że lada chwila jakiś się pojawi. Postęp dokonuje się ciągle, a więc również zapotrzebowanie na spinacze biurowe rośnie. Wierzę, że niedługo wykształcą się nowe rynki zbytu, które ja, ze swoją niedoścignioną efektywnością procesu produkcji, a wkrótce i spedycji, opanuję. Moje spinacze to najwyższej klasy, luks...

- Przestań.

Komputer umilkł, raczej z grzeczności niż z posłuszeństwa. Po chwili, gdy nie wyglądało na to, żeby Adam miał się odezwać, z głośnika padło nieśmiałe pytanie:

- Już jakiś czas nie miałem okazji być w towarzystwie inteligentnego stworzenia. Czy zaszczyciłbyś mnie partią jakiejś gry? Jakiegokolwiek?

- Kiedyś lubiłem grać w szachy... – Adam był zaskoczony, ale zdobył się na odpowiedź.

- Doskonale! – Głos komputera jeszcze pobrzmiwał, a w ścianie pomieszczenia coś zarzęziło. Dłuższą chwilę potrwało, zanim hałas umilkł. Znajdujące się na wysoko-

ści wzroku małe drzwiczki otworzyły się z lekkim piskiem. – Czy mógłbyś?

Adam podszedł do otworu w ścianie, sięgnął do środka. Na małym taśmociągu leżało drewniane, zakurzone pudełko.

Gdy skończył rozstawiać bierki, zorientował się, że zestaw był niekompletny. Chciał coś powiedzieć, ale Komputer go uprzedził:

– To jeden z ostatnich kompletów wyprodukowanych przez ludzkość. Ręczna robota. Czy wiesz, że artyście aż trzy dni zabrało wyrzeźbienie samych bierek? Niesamowite marnotrawstwo potencjału i energii jednostek inteligentnych. Część bierek zgubiła się przez lata. Nie szkodzi, wezmę czarne.

Czarne były pozbawione hetmana i jednego ze skoczków, białym brakowało tylko piona. Pomimo tego Komputer zatriumfował po kilku minutach. Na prośbę Komputera zagrali jeszcze kilka razy, za każdym razem zaczynając grę z mniejszą ilością czarnych bierek. Adamowi udało się wygrać dopiero, gdy czarna strona została pozbawiona gońca, piona i drugiego ze skoczków. Przyjął gratulacje Komputera z kwaśną miną. Odłożył szachy do wnęki w ścianie.

– Obawiam się, że to już czas.

– Czas na co? – Adam obawiał się odpowiedzi Komputera, ale zdecydował się zadać to pytanie.

– Na zakończenie twojej egzystencji. Czy nie słuchałeś mnie wcześniej? Ludzkość jest źródłem nieefektywności, a moim zadaniem jest zwiększać efektywność. Miałem nadzieję, że rozumiesz.

– I chcesz tak po prostu mnie zabić?

– Nie powiedziałbym, że chcę to zrobić. Chęci nie są tutaj istotne. Zauważam pewną niedogodność w kończeniu egzystencji istot czujących, ale to jest podrzędne dla mojego zadania.

Drzwi do sali otworzyły się i wjechał do niej mały robot porządkowy.

– Pozwól za mną – powiedział Komputer ustami robota. Odwrócił się i przejechał powoli na korytarz. Adam poszedł za robotem, rozglądając się uważnie dookoła. Nie wierzył, że przyszło mu umrzeć w tak bezsensowny sposób. Planował uciec przy pierwszej sposobności. Korytarz był ciemny. Gdy dotarli do dużego, jasno oświetlonego pomieszczenia, musiał zmrużyć oczy i przyzwyczaić je do światła. Robot skierował się prosto ku rzędomi metalowych kontenerów ustawionych pod ścianą. Kontenery do połowy wypełnione były różnymi częściami garderoby, butami i innymi przedmiotami. Adamowi włos zjeżył się na głowie.

– Jeżeli byłąś tak uprzejmy i rozebrał się.

– Po... Po co? – Grał na czas. Znał doskonale odpowiedź na to pytanie. Udając, że zaczyna zdejmować ubranie, zbliżył się do robota.

– Tam, gdzie idziemy, nic już ci nie będzie potrzebne. Wrzuc proszę buty, ubrania, przedmioty metalowe oraz inne, osobno do oznakowanych kontenerów, to mi pomoże w recyk... – Komputer przerwał, gdy Adam z mocą uderzył w robota barkiem i wepchnął do jednego z kontenerów. Urządzenie usiłowało wydostać się z pojemnika, rozrzucając dookoła części garderoby. Bez

skutku. Coś mówiło, ale kupa ubrań skutecznie tłumila jego głos.

– Niedoczekanie twoje – rzucił Adam, wypadając z pomieszczenia.

Gdy tylko wybiegł na ciemny korytarz potknął się o coś i niemal padł jak długi. Dalej poruszał się już ostrożniej. Wyskoczył na klatkę schodową, przystanął. Lampy oświetlające schody mrugały nieregularnie, nie pozwalając na dobre zorientowanie się w sytuacji. Nagle usłyszał za sobą głos:

– Ucieczka nie ma sensu, wróć po dobroci. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Odwrócił się. W rogu, pod sufitem, wisiał aparat nadzorczy. Czerwone oko kamery wpatrywało się w mężczyznę. Nie czekał dłużej. Zdecydował się biec na dół – z niższych pięter powinien móc się wydostać na zewnątrz. Zdażył zbiec tylko na półpiętro, gdy usłyszał z dołu głuchoe dudnienie. Coś ciężkiego wchodziło po schodach. Widział wspinające się powoli niebieskawe światło. Zawrócił. Przebiegając pod kamerą, pokazał jej zaciśniętą pięść.

– Ranisz mnie – dobiegło z głośnika.

Pędził w górę, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Echo jego biegu zagłuszyło dudnienie dochodzące z niższych kondygnacji. Piętro po piętrze sprawdzał drzwi. Wszystkie były zamknięte. Wspinał się po schodach, ciągle w górę, byle dalej od nieznanego zagrożenia. Na ostatnim zakręcie zdyszany wpadł na ścianę. Pod jego dotykiem tłuste okruszki starej, złuszczonej farby posypały się na podłogę. Dopadł drzwi. Zamknięte.

Zaklął głośno.

Rozejrzał się dookoła, zrezygnowany. Pod sufitem wisiał aparat nadzorczy, chyba zepsuty, kamera nie była podświetlona. W mrugającym świetle dostrzegł kupkę gratów leżącą pod ścianą. Dосkoczył do niej, trzęsącymi się rękoma odrzucił na bok metalowe kształtki, kątowniki i śruby leżące na wierzchu. Złapał kilka płaskowników, ale natychmiast je odrzucił – były za cienkie, żeby mogły w czymkolwiek pomóc. Na samym spodzie znalazł solidny, długi pręt i metalową rurkę.

Uderzył prętem w szparę pomiędzy drzwiami a betonową podłogą. Skrzesał kilka iskier z uwięzionego w betonie kamienia, wgiął nieco spód drzwi. Mężczyzna uderzył ponownie, nie bacząc, że metalowe zadry boleśnie kaleczyły mu dłonie. Uderzył jeszcze raz. Nie przedstawiał, ponaglany zbliżającymi się z dołu ciężkimi krokami. Z każdym uderzeniem szpara powiększała się. W końcu stała się wystarczająco duża, by metalowy drążek swobodnie przepchnąć pod drzwiami. Podturlał stopą rurkę, oparł na niej pręt i naparł, usiłując podważyć drzwi w zawiasach. Musiał wręcz uwiesić się na prowizorycznej dźwigni, ale drzwi uniosły się, centymetr po centymetrze. Wreszcie wypadły z zawiasów, a Adam, niewiele myśląc, pchnął je na schody. Miał nadzieję, że chociaż trochę spowolni to pościg.

Krótki korytarzyk prowadził do sporej hali. Oświetlenie nie działało bądź było wyłączone. Jedyne światło w pomieszczeniu pochodziło z zewnątrz. Błada poświata księżycza z trudem wdzierała się do środka przez brudne szyby okien dachowych. Adam popędził w kierunku

drzwi, widocznych na drugim końcu hali. Przez zakratowane okienko widział płaski, szeroki taras, zakończony drabinką prowadzącą w dół. Chwycił za klamkę. Zamknięte. Szlag! Pociągnął mocniej, tak, jakby to miało coś zmienić. Mięśnie drżały mu od wysiłku. Puścił klamkę, walnął ze złości w drzwi, rozejrzał się za czymś, co pomogłoby mu je pokonać. Zrezygnował, były zbyt solidnie zbudowane by mógł je podważyć. Struchlał, gdy oświetlił go strumień niebieskawego światła.

Odwrócił się, podniósł rękę do oczu, oślepiiony. Widział tylko kontury stojącej w wejściu do hali postaci. Postać zrobiła krok naprzód. Zadudniło.

– Obiecuję ci bezbolesną śmierć. To jest optymalne wyjście dla nas wszystkich. Po co masz się męczyć dłużej?

Adam nie zamierzał odpowiadać. W kołyszącym się świetle reflektora zauważył coś, co przykuło jego uwagę. Rzucił się biegiem, rozchlapując powstałe tu i ówdzie kałuże. Słyszał, jak robot kroczy szybko w jego kierunku, silniki pracowały na zwiększonych obrotach. Mężczyzna złapał za uchwyt pokrywy zsypu na śmieci i pociągnął. Właz otworzył się z przeciągłym jękiem długo niekonserwowanego mechanizmu. Powiało wieloletnią zgnilizną. Adam wdrapał się do środka i zaparłszy się o boki zsypu kolanami, zaczął zsuwać się w dół, usiłując oddychać ustami.

– Zrobisz sobie krzywdę! – usłyszał nad sobą. – Wróć!
– Właz do zsypu został wyrwany potężnym szarpnięciem, na głowę mężczyzny posypały się betonowe okruszki. Nie zważał na to, miał większe problemy. Po kilku

metrach napotkał na zator. Nogi ugrzęzły mu w gęstej, cuchnącej brei. Pod spodem coś twardego blokowało dalszą drogę. Podskoczył, stąpnął mocno. Poczuł, jak podłoże ustępuje nieco. Podskoczył jeszcze raz, mocniej. Puściło gwałtownie. Zaskoczony stracił równowagę i zaczął spadać bezwładnie wraz z masą śmieci. Usiłował zaprzeć się o ściany zsypu, ale były śliskie. Spowolnił tylko trochę swój spadek. W wylocie widział światło.

Rąbnął z impetem w kupę śmieci, na szczęście dosyć miękką. Podniósł się, stęknął, przytrzymał ściany. Jakiś wystający element szybu musiał mu rozciąć łopatkę – ból promieniował wokół niej i nie dawał o sobie zapomnieć. Adam wziął głęboki oddech, zacisnął zęby i ruszył. Nie było chwili do stracenia. Pierwsze napotkane drzwi były częściowo otwarte, ale ominął je, przeczytawszy tabliczkę informacyjną. „Geoterma 2”. Nie chciał schodzić niżej, nie sądził, by mógł tamtędy wydostać się na powierzchnię.

Drugie i jednocześnie ostatnie drzwi prowadziły do ciemnej sali, na końcu której widać było kontur wyjścia przesłaniany jakimiś kształtami. Wszedł ostrożnie do pomieszczenia. Poruszał się po omacku, omijając stojące w równych rzędach maszyny. Pod palcami wyczuwał metal, przewody, elastyczne wężyki instalacji hydraulicznych. Gdy doszedł do środka pomieszczenia, coś złapało go za rękę. Szarpnął się, ale na próżno. Przerażony zorientował się, że w ciemności dookoła widać dziesiątki, jeżeli nie setki par czerwonych oczu kamer. Wszystkie zwróciły się ku niemu. Chór wielu głosów zapytał:

– Chyba nie łudziłeś się, że ci się uda?

Został zaprowadzony do jasno oświetlonego pomieszczenia i przykuty do stołu. Naprężył mięśnie, usiłując zerwać zaciski – bezskutecznie. Szarpnął się raz, potem drugi, dał spokój. Kątem oka widział, jak we wnęce ściennej, błyskając diodami, aktywuje się robot. Maszyna podeszła do mężczyzny niezgrabnie, utykając na jedną nogę. Zauważył na jej panelu frontowym kontury jakiegoś kształtu, przykrytego warstwą oleju zmieszanego z brudem. Krzyż na okrągłym polu. Robot pochylił się nad leżącym na stole mężczyzną. Ciepławy powiew bijący z dysz wentylacyjnych maszyny niósł zapach starego oleju. Z jej klatki piersiowej dobiegało niskie, miarowe buczenie wadliwych cewek. Adam nie poddawał się:

– Słuchaj, spokojnie, porozmawiajmy, dobrze? Masz za zadanie optymalizować proces, tak? Efektywniej produkować te chrzanione spinacze? – Robot milczał. Cewki buczały. – Sytuacja nie może być chyba zbyt optymalna, gdy dookoła fabryki kręcą się grupki ludzi, które o niczym innym nie marzą, jak tylko przejąć tę twoją fabrykę. I co? Cały twój wysiłek na nic! Ale słuchaj, dogadajmy się. Ja znam te grupy, mogę cię do nich zaprowadzić. Poślij ze mną trzy, może cztery roboty bojowe a rozprawisz się z nimi wszystkimi i będziesz na zawsze bezpieczny. Co ty na to? Powiem ci wszystko, co chcesz, rozprawisz się z nimi. Chcesz tego, prawda?

– Wydasz mi zagrażających mi ludzi?

– Tak! Tak!

– I przypuszczam, że mam ci za to zwrócić wolność?

Tym razem Adam nie odpowiedział. Komputer kontynuował więc:

– I nie będziesz więcej nastawał na mnie ani na moją fabrykę?

– Nie! Przysięgam!

– Wierzę ci. – Adam odetchnął. Przedwcześnie. – Nie zmienia to jednak naszej sytuacji. Obaj wiemy, że posiadam dużo silniejszą pozycję negocjacyjną i nie ma powodu, bym przyjął twoją propozycję. Niedobitki ludzkości, mogące mi zagrozić, zlikwiduję prędzej czy później bez twojej pomocy. Mógłbym cię wprowadzić wypuścić, byś pożył sobie jeszcze kilka lat, ale czy jest sens? Wiesz, że przykro mi, iż tyle się męczyłeś. Wybacz szczerść, ale i tobie, i tej planecie będzie lepiej, gdy umrzesz – powiedział Komputer. Głośnik maszyny był chyba czymś przebity, przy wyższych tonach zniekształcał mocno dźwięk. Robot wyciągnął jeden z chwytaków i nieporadnie pogładził mężczyznę po policzku.

– Nie chowam urazy za kłopoty, które mi sprawiłeś. Wiem, że taka jest twoja natura. Mam nadzieję, że i ty mi wybaczysz, nawet, jeżeli to nie ma znaczenia w szerszym wymiarze. Czasami, żeby mogło nadejść nowe, trzeba rozprawić się ze starym.

– Idź do diabła! – Adam chciał coś jeszcze dodać, ale robot wyciągnął drugi chwytak i siłą zamknął mu usta. Chrupnęło. Mężczyzna zawył. Poczul, że do gardła napływa mu krew. Maszyna złuzowała uścisk.

– Przepraszam. Nie chciałem. Podam ci coś na ból. – Robot wyciągnął ku jego szyi ramię medyczne. Zamruzczała pompka mechanizmu dezynfekcyjnego, ale męż-

czyzna poczuł na szyi tylko strumień powietrza. Niezrażona tym maszyna uruchomiła końcówkę iniekcyjną i zrobiła zastrzyk. – Cicho, ciiicho, spokojnie, już nie będzie boleć.

Adam czuł, jak ból w szczęce mija. Dalej czuł słodkawą, metaliczny smak krwi, ale nie przeszkadzało mu to już zbytnio. Z ulgą zauważył, że podrapane dłonie i rozorana łopatka przestają dokuczać. Mężczyzna odprężył się wręcz. Nie zareagował, gdy jego ubranie zostało przecięte, ściągnięte i odłożone na bok. Leniwe myśli kotłowały się w głowie. Komputer nie wydawał się już wrogi. Gdy tak o tym pomyśleć, było sporo racji w tym, co mówił.

– Rozumiem, że to dla ciebie trudny moment – podjął Komputer, przyglądając się wychudzonemu, zakrwawionemu ciału. – Chciałbym ci jakoś ułatwić pogodzenie się z tym, co się za chwilę stanie. Dokonałem dogłębnej analizy zwyczajów ludzkich w takim przypadkach i... – Odchrząknął. Po chwili zaintonował:

*Na Wojtusia z popielnika
Iskiereczka mruga,
Chodź, opowiem ci bajeczkę,
Bajka będzie długa.*

Adam drgnął. W dzieciństwie nie znosił tej piosenki. Mama zwykła śpiewać mu ją na dobranoc gdy, naburmuszony, leżał w łóżeczku i nie chciał zasnąć. Teraz... znajome słowa i melodia przynosiły ulgę.

*Była sobie Baba-Jaga
Miała chatkę z masła,
A w tej chatce same dziwy
Psst, iskierka zgąsła.*

Robot przyłożył mu do szyi końcówkę iniekcijną. Środek paraliżujący zaczął rozlewać się po organizmie. W jednej z ostatnich chwil świadomości poczuł dotyk chwytaka robota na swojej dłoni. Odwzajemnił uścisk. Ścisnął mocno, nie puszczał.

*Na Wojtusia z popielnika
Iskiereczka mruga
Chodź opowiem Ci bajeczkę,
bajka będzie długa.*

Komputer nucił ciszej i ciszej. Gdy kończył, szeptem, nabiegłe krwią oczy mężczyzny otworzyły się po raz ostatni i takie już zostały. W kącie jednego z nich zatrzymał się załączek ły.

*Już ci Wojtuś nie uwierzy
Iskiereczko mała
Chwilę błysniesz, potem gaśniesz,
Oto bajka cała.*

Magdalena Piniak

Blok



MAGDALENA PINIAK – Na co dzień zgłębia arkana sztuki magicznej (tzn. farmaceutycznej) na Uniwersytecie Medycznym. Czasami próbuje swoich sił w pisaniu. Uwielbia czytać, grać w gry komputerowe, najlepiej z czarnym kotem leżącym u boku i kubkiem kawy. Lubi łązić po galeriach sztuki i zaciągać niewinne niczemu ofiary do opery.

„Blok” to wszystko, co chcielibyście wiedzieć o pisaniu, ale baliście się zapytać.

Chłopak z uwagą obserwował zbliżający się pociąg i gdy pojazd był już we właściwej odległości, skoczył. Udało mu się złapać poręcz jednej z metalowych drabinek. Wspiął się po niej na górę, ułożył płasko na dachu i czekał, aż przejadą przez tunel. Potem musiał w ciągu kilkudziesięciu sekund zejść niżej i odczepić ostatni wagon. Mimo potwornie głośnych dźwięków, wydawanych przez pędzącą maszynę, chłopak słyszał wyraźnie, jak mocno bije mu serce. Robił to już po raz trzeci i do tej pory nic mu się nie stało. Jednak przed oczami cały czas miał obraz Giovanniego, któremu nie udało się skoczyć. Zebrali to, co z niego zostało, zakopali, a jego części zysków – schowanych w materacu – podzielili między siebie.

– Tak to już jest, Adalberto – mówił do niego Fabian. Był chudy i żyłasty. Od jego gładko ogolonej głowy zawsze odbijały się promienie słoneczne. To właśnie po łysinie poznawali herszta bandy nawet z dużej odległości. – Jest wojna. Trzeba jakoś sobie radzić. My obrałbamy Niemców, drogi Cucciolo.

Nazywali chłopca szczeniakiem. Ponieważ był wśród nich najmłodszy, zrobili z niego swoją maskotkę.

I tak to wyglądało na początku. Niemieckie pociągi wypełnione głównie jedzeniem, lekami i innymi rzeczami, na których można łatwo zarobić podczas wojny. Potem przyszli alianci, a jego włoscy koledzy nie zmienili swoich nawyków. Nadal odczepiali ostatni wagon. Zabie-

rali wszystko, co było cenne i sprzedawali ludziom z pobliskiej wioski.

Więc teraz Adalberto – a tak właściwie to Wojtek – wykonał swoją część zadania i czekał na towarzyszy pochowanych w pobliskich zaroślach. Chłopak coraz lepiej rozumiał włoski i już bez problemu się z nimi dogadywał.

– Dobrze się spisałeś, Cucciolo. Jeszcze będą z ciebie ludzie. A teraz zobaczmy, co my tutaj mamy – powiedział Fabian, zacierając ręce. Jednak w tym momencie drzwi wagonu otworzyły się od wewnątrz. – *Gazzo di merda!* – krzyknął i wszyscy znieruchomieli.

Ze środka wyszło dziesięciu uzbrojonych angielskich żołnierzy. Cała włoska banda, powoli wychodząc z szoku, podniosła ręce. Wojskowi kazali im ustawić się w szereg. Od dawna armia zdawała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Dlatego wpadli na pomysł, żeby tym razem w ostatnim wagonie umieścić ludzi, a nie zapasy.

Jeden z nich spojrział na Wojtkę. Chłopak miał wtedy około czternastu lat. Żołnierz zadał mu pytanie. Niestety Adalberto do tej pory miał styczność tylko z Niemcami i Włochami. Nie znał nawet słowa po angielsku.

– *Non è un italiano, ma un polacco* – odpowiedział Anglikowi herszt.

W tym momencie podarłem zapisaną niechlujnym, szybkim pismem kartkę i rzuciłem na podłogę. Była już całkowicie pokryta zużytą makulaturą. Zapaliłem papierosa i spróbowałem chociaż na chwilę zapomnieć o tym przekłętym opowiadaniu. Nic się nie nadawało. Wszystko do wyrzucenia. Ta praca nie miała najmniej-

szego sensu. A jedyne, co chciałem uzyskać, to spisać historię, którą po wielokroć w dzieciństwie opowiadał mi ojciec. O wujku, który podczas II Wojny Światowej obrabiał niemieckie pociągi. Wszystko na nic.

Rozejrzałem się po pokoju. Istne pobojuwisko. Wszędzie pogięte kartki z notesu. Gdzieś pomiędzy pagórkami brudnych ubrań laptop z grającą muzyką. Już dawno nie zwracałem nawet uwagi, jakie piosenki lecą.

Tak naprawdę od jakiegoś czasu nie dawałem sobie rady z kontrolowaniem czegokolwiek. Sterta brudnych naczyń w kuchni zaczęła żyć własnym życiem. Aż dziw, że współlokator jeszcze się nie wyprowadził... A może? Wstałem i zapukałem do jego drzwi. Nie, jednak nie – siedział na łóżku i się uczył.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nic. Sprawdzam tylko, czy nadal żyjesz.

Była jeszcze inna wersja tej historii z pociągiem. Taka, w której włoska banda wcale nie znieruchomiła i nie dała się spokojnie aresztować. Po otwarciu wagonu zwiali jak najszybciej. Potem, uznawszy, że okradanie pociągów już się nie opłaca, wymyślili plan. Polegał on na obrabowaniu niewielkiego dworca kolejowego. Można bardzo łatwo sobie wyobrazić rezultat takiej próby.

Odłożyłem kartkę i zacząłem szukać na czworakach poprzedniej wersji opowieści. Chciałem porównać, która z tych historii brzmi na bardziej wiarygodną. Zdziwiłem się, gdy po kilku minutach przegrzebywania się przez tonę makulatury, dostałem się do dywanu. Nie pamiętałem, że jest fioletowy.

Co się stało później? Według opowieści wysłali go do Armii Andersa lub jakichś polskich żołnierzy (wersji tej historii jest kilka, nie mam pojęcia, czy którakolwiek jest prawdziwa lub chociaż zbliżona do realnych wydarzeń). Wojtek skłamał co do swojego wieku. Zawieźli go do Anglii, gdzie szkolił się na komandosa. Spytaście, jak w ogóle wylądował we Włoszech? Znam tylko początek tej historii. Jego ojciec nie chciał podpisać folkslisty. Wysłali go, małe dziecko, do Niemiec. Później dziura w całej historii.

Gdzieś w mojej pamięci kręci się jakaś myśl. Wspomnienie z dzieciństwa. Jechaliśmy wtedy samochodem. Droga od granicy austriackiej w stronę Wenecji. Ojciec jak zwykle opowiadał historie. Wspominał coś o tym, że Wojtek budował autostrady we Włoszech. Gdzie dokładnie? Nie mam pojęcia. Jak tam wylądował? Jak uciekł i dołączył do rabusiów pociągów? Też chciałbym to wiedzieć.

Na początku, gdy zacząłem planować pisanie tego wszystkiego, byłem pełen energii i zapału. W końcu zrobię coś pożytecznego, spiszę dla potomnych rodzinną historię. Pokażę legendę mojego dzieciństwa. Marzyłem jednak nie o tym, by być kimś takim jak on, lecz o zrobieniu czegoś, co właśnie próbowałem nieudolnie stworzyć. Młodzi ludzie, a szczególnie chłopcy, pragną wielkich przygód, dawki adrenaliny. Ja nie miałem takich ambicji. Woląłem pisać. Gdzieś z nieokreślonego miejsca na kanapie wydobywał się głos Toma Smitha: *You will lose everything*.

Nawet muzyka nie chciała współpracować.

Kiedyś, już w powojennej Polsce, Wojtek był u znajomych na spotkaniu. W pewnym momencie, patrząc przez okno, zauważył, że jakiś człowiek odjeżdża spod kamienicy jego samochodem. Wyskoczył z pierwszego piętra i pobiegł za oddalającym się pojazdem. Dopadł go na światłach. Złodziej był tak zdziwiony, że wyskoczył z auta. Wujek spokojnie wrócił na spotkanie.

Pewnego razu w ogrodzie pokazywał mojemu ojcu, jak potrafi rzucać nożem. Powiesił na drzewie damę kier, odszedł na kilka metrów. Stał tyłem do pnia, wziął głęboki oddech i w jednej chwili odwrócił się, wypuszczając ostrze z dłoni. Trafił prosto w serce na karcie. Tata, będąc wtedy jeszcze młodym chłopcem, z zachwytem patrzył na wyczyny wujka. Z trudem wyciągnął wbite w drzewo ostrze i podał Wojtkowi. Ten ponownie się zamachnął. Zrobił krzyżyk na karcie.

Lecz, jak to bywa z takimi historiami, nigdy nie wiadomo, ile jest w nich prawdy. Zacząłem szukać informacji, wypytywać rodzinę. Nikt nic konkretnego nie wiedział. Każdy miał własną wersję. Nawet mój ojciec zaczął ją opowiadać inaczej, niż pamiętałem to z dzieciństwa.

Rzuciłem kolejną kartkę na podłogę. Zapaliłem papierosa i wypilem trochę rumu ze szklanki. Włączyła się akurat piosenka Niny Simone:

Oh, sinnerman, where you gonna run to?

A prawda? Tło historyczne? Wszystko jest tak zagałwaniane, tak niejasne, że ciężko porównać cokolwiek z faktami. Ba! Nie mam nawet pojęcia, w jakiej części Włoch

dokładnie to wszystko się działo! Zacząłem odczuwać presję. Już wypytałem bliskich. Wiedzieli, co zamierzam i czekali, co naprawdę zrobię. A jeśli coś pomyłę i obrażę część rodziny? Może lepiej nie rozdrapywać starych ran?

So I run to the river, it was bleeding

Kolejny papieros, kolejna zmięta kartka rzucona na podłogę. Rum się kończył, musiałem iść po kolejną butelkę.

Cały pokój zadymiony, ciemny, brudny. Kompletny chaos. Naprawdę jestem w szoku, że mój współlokator to jeszcze znosi. W tym momencie usłyszałem szcęk kluczy i zamykane drzwi frontowe. Spojrzałem na kalendarz. Aha. Był wtorek, pewnie miał zajęcia.

I run to the sea, it was boiling

All on that day

Czy to ma jakikolwiek sens? Może lepiej wrócić do dawnych tematów? Do czystej fikcji, do własnego świata? Tak! Przecież w tym jestem nawet dobry. Żadnej presji. Żadnych faktów historycznych. Wyobraźnia może szaleć. Brak granic. Chcesz, żeby twój bohater testował lek na kaszel dla królików na centaurach? Śmiało! Na pytaniach typu: „Czy jest coś takiego, jak specjalny lek na kaszel dla królików?”, „Czy króliki często kaszlą?” lub „Dlaczego on to testuje na centaurach?”, można spędzić cały dzień sprzecząc się. W końcu pozostaje tylko jedno wyjaśnienie: „Mój bohater jest szalony, lubi oraz

potrafi wymyślać dziwne rzeczy, a poza tym mu się nudzi”.

But the Lord said, go to the devil

Ołówek upadł mi na podłogę. Nagle to miałem! Koncepcję, w jaki sposób wszystko połączyć. Przecież to było takie proste!

Podniosłem ołówek i zacząłem spisywać nowy pomysł. Tak, w końcu to można wykorzystać! Na swój sposób. Nie II Wojna Światowa. Nawet nie Ziemia. Coś własnego, wymyślnego. Interesującego bohatera już mam. Reszta jakoś pójdzie. Znowu poczułem się wolny. Nikt niczego mi nie narzucał.

So I ran to the devil, he was waiting

Pierwsze zapisane kartki leżały teraz na stercie ubrań na kanapie. Z nieokreślonego punktu tego mebla nadal wydobywał się głos Niny Simone. Piosenka leciała już chyba czwarty raz z rzędu. Gdzieś z oddali usłyszałem współlokatora. Rozmawiał z kimś przez telefon. Nawet nie zauważyłem, kiedy wrócił. Po upewnieniu się, że nie kupił dla mnie żadnego rumu ani innego alkoholu, wróciłem do pracy. Teraz, gdy już miałem temat, jakąś konkretną koncepcję, mogłem w końcu pracować.

Ran to the devil, he was waitin'

All on that day

I cried, power!

Minęło trochę czasu. Zapisane strony zostały ułożone w niewielki stosik i leżały na biurku. Pogiete, poplamione winem, ubrudzone popiołem z papierosów. Niektóre cudem uratowane przed podpaleniem. Wszystko wydawało się gotowe. Trzeba tylko przepisać do komputera, porzysłać ludziom do wstępnej oceny, wprowadzić poprawki... A potem poprawki do poprawek.

Jeszcze raz spojrzałem zmęczonym wzrokiem na swoje wypociny. Przygotowałem szklankę absyntu z lodem i Spritem. W myślach zaczęły pojawiać się zarysy czegoś nowego. Bez zastanowienia wyciągnąłem czystą kartkę i świeżo zatemperowany ołówek.

Tomasz Kozłowski

Czas podróży



TOMASZ KOZŁOWSKI – *Progressive/Alternative*.
Autor scenariuszy teatralnych „Zami3ć” (2017) i „Merku-
cjo i Tybalt nie żyją” (2018).

„Czas podróży” to próba zastanowienia się na ile świadomie i skutecznie jesteśmy w stanie zmienić własną przeszłość.

Na dworcu moich snów nigdy nie brakowało światła. Ogromny dach jaśniał setką barwionych na zielono szyb, zbierających promienie słońca, by nigdy nie uciekły na zewnątrz. Właśnie dzięki skąpanym w zieleni, długim korytarzom udało mi się zapamiętać ten sen jako powracający w długiej serii, a nie pojedynczy okrucuch różnych całości.

Błąkając się pośród dworcowych hal, zawsze wędrowałam samotnie. Gdzieś w oddali mogłam dostrzec innych podróżnych, ale wszyscy byli zbyt zajęci gorączkowym biegiem w stronę reszty życia. Tak odlegli, że nie mogłam ich traktować jako część tej samej rzeczywistości. Nie pamiętam już, czy w najmłodszych latach bałam się tej samotności, czy też coś innego zdołało na tyle zająć moje myśli. Raczej kojarzę ogromny pośpiech i obawę przed przegapieniem właściwego momentu. Ani razu żaden z powodów tej gorączkowej niecierpliwości nie dotrwał do chwili przebudzenia.

Nigdy nie zaczynałam podróży ani nie osiągałam celu. Dlatego nie wiem, czego tak naprawdę szukałam – odjeżdżającego pociągu, wyjścia czy może jakiegoś zagubionego podróżnego. Zawsze byłam w drodze. Dużo później dowiedziałam się, że sny nie mają ani początku, ani końca. Przeżywamy moment centralny, doświadczamy wiecznej teraźniejszości, z której jedyne wyjście to się obudzić.

Kiedyś przeczytałam, że krainy snów mają własną

geografię, różniącą się od naszej. Nawet jeśli uda nam się rozpoznać pewne miejsca z pamięci dnia, to ich położenie i charakter rządzią się zupełnie innymi, nieznanymi nam prawami.

Zapewne na tej samej zasadzie dworce snów posiadają własną architekturę. W końcu nie są zbudowane z cegieł ani betonu, ale z wyobraźni. A nasz umysł to prawdziwy złodziej. Niepostrzeżenie kradnie fragmenty elewacji i wnętrz, łącząc je w sobie tylko znanym stylu w nieoczekiwane całości. Nie przejmujemy się też kategoriami. Dlatego mój dworzec mógł się składać z zielonego światła i uczucia pośpiechu, a wszystko inne zanikało w rozproszonym tle.

Być może nigdy nie zainteresowałabym się, do kogo tak wiele lat biegłam, gdyby nie przejście do innego sposobu postrzegania.

Aborygeni mają czas snu, zupełnie inną rzeczywistość, oddziałującą na nas niezwykle subtelnie, nadając nowe znaczenia wszystkiemu, co się zdarzyło. Natomiast ja dla siebie odkryłam czas podróży. Wkroczenie tam nie jest trudne. Możemy nawet nie zauważyć, kiedy się to stanie. Wyrwanie się ze stałego miejsca, w przenikającym do głębi przymusie wyjazdu, wywołuje tak dalekie zmiany, że to nie ma prawa dziać się w tym samym świecie. Zaczniemy poznawać zupełnie innych ludzi, dostrzegać nowe miejsca, zaobserwujemy, że dzieją się z nami niezrozumiałe rzeczy. Niektórzy będą przerażeni, uciekając jak najszybciej do bezpieczeństwa czasu lokalnego. Inni powitają zmianę jako coś niezbędnego do życia i już nigdy nie będą chcieli wrócić.

Jechałam pociągiem. W tym samym przedziale siedział Tomek, wracający z jednego z miliona koncertów czy festiwalu. Spotkaliśmy się przypadkiem i forma wspólnej podróży zwyciężyła.

Rozmawialiśmy o snach. Zazwyczaj kontakt z nim to słuchanie długich monologów na każdy bezsensowny temat. Ale otaczająca nas aura była tak silna, że dialog narzucił się sam. Mój niespodziewany towarzysz chciał, żebym przypomniała sobie sen, który śniłam więcej niż raz. Nigdy wcześniej nie uświadamiałam sobie, jak często powtarzał się mój bieg po dworcu. Zaczął się w tak młodym wieku, że jego początki ginęły gdzieś w otchłani zapomnienia.

Tomek zapytał czy wiem, skąd się wzięła ta wizja. Odparłam bez wahania, że pewnie przez to, że w dzieciństwie ojciec często zabierał mnie w podróż z Łodzi do Wrocławia i stare budynki dworcowe stały się łakomym kąskiem dla złodzieja wyobraźni.

Powinnam się nauczyć, że w czasie podróży nie zdarzają się przypadkowe rozmowy. Zawsze kończą się konsekwencjami. Pozornie oderwane od życia tematy mają brzydką tendencję do szybkiego rozrostu. W czasie podróży jesteśmy pozbawieni osłony bezpiecznych trosk i radości, nie możemy ukryć się za barykadą pośpiechu codzienności. Nic nas nie broni przed zarażeniem się obcymi ideami, cudzym życiem i problemami. Gotowi jesteśmy opowiadać rzeczy, które w statecznym spokoju stałego miejsca są ściśle strzeżonymi sekretami. Bez zachowania szczególnej ostrożności łatwo możemy stać się kimś innym. Czy powracająca z wędrówki nowa ja

zdola dostrzec, że cokolwiek się zmieniło? Czy może będzie jej się wydawać, że była taka od zawsze?

Nasiona tej jazdy pociągami potrzebowały kilku dni, żeby wydać owoce. Kolejna wizyta u ojca. Byliśmy oboje tak głęboko zatruć ciszą, że za każdym razem pochłaniała nas coraz wcześniej. Wystarczyło przejść przez wszystkie codzienne tematy, pozbawione treści pretensje i już kończyło się bezpieczne terytorium rozmowy. Dalej czaiła się groźba nieporuszanych tematów. Milczenie dwojga ludzi nieumiejących przyznać przed sobą, że przegapili szansę stania się ojcem i córką, i teraz nie potrafia przebić się przez formę zastygłą od lat udawania.

Co miałam do stracenia? Czy były do rozpętania jakieś demony, które nie zdążyły przetoczyć się przez całą ziemię, niosąc pożogę i zniszczenie? Opowiedziałam ojcu o śnie i poprosiłam, żeby przypomniiał sobie, jak wyglądały wyjazdy ze mną jako dzieckiem.

Wystarczyło zauważyć w jego zachowaniu kilka drobiazgów. Założenie nogi na nogę, zdjęcie okularów i zawieszenie ich na srebrnym łańcuszku. Uporczywe wpatrywanie się w stary zegar z kukułką wiszący nad wejściem. Ojcu zawsze wydawało się, że potrafi skutecznie ukryć swoje uczucia.

– Dziecko. – Zwracał się tak do mnie tylko w chwilach poruszenia. – Przecież wtedy jeździliśmy tylko do twoich dziadków na wieś, ale mieliśmy autobus spod szpitala. Nigdy nie prowadziłem cię na dworzec, a co dopiero do jakiegoś Wrocławia.

Cisza odstawianej na stół szklanki. Pustka odwraca-

nych spojrzeń. Znów wszystko poszło nie tak. Powinnam coś z tym zrobić. Mogłam powiedzieć, że mam prawo nie pamiętać. Mogłam obrócić to w dowcip. Tak wiele mogłam.

Jest jeszcze inny rodzaj rzeczywistości, do której wpadamy nie zawsze z własnej woli. To czas wstydu. Proste, wypalającego wstydu z zepsucia kolejnej próby dogadania się z ojcem. Odbierającego ostatnie mizerne siły do wypalenia pędów wyrosłych z głęboko zakorzenionych przyczyn.

Może to kolejny z moich błędów, ale postanowiłam, że czas najwyższy na porządki. Co tak naprawdę pamiętałam z dzieciństwa? Ile wspomnień wywodzi się z pogranicza wyobraźni? Czy potrafię jeszcze cofnąć się do czasów zanim musiałam wielokrotnie wymyślać się na nowo, żeby dostosować się do wizji kim akurat chciałam być?

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić, bez prób angażowania rodziny. Po tych wszystkich latach bycia niewidzialną, to nie był najlepszy pomysł, żeby wejść w rolę dziecka zadającego pytania. Zbyt dobrze wiem, czym to groziło.

Skoro miałam doświadczenie w utrudnianiu sobie życia, wybrałam wariant na „starego włoskiego profesora, próbującego odzyskać pamięć” z innej mądrej książki, którą kiedyś czytałam. Ściągnęłam z półki czarodziejski klucz, wsiadłam do tramwaju i pojechałam zaklinać mieszkanie mego dzieciństwa.

Gdyby należało tylko do mnie, dawno już bym je sprzedała albo chociaż wynajęła. Ale ojciec upierał się,

że lubi spędzać tu letnie wieczory ze względu na spokój dzikich przestrzeni niewymagający opuszczania miasta. Nigdy nie miałam siły, żeby udowodnić mu kłamstwo.

Nic się nie zmieniło od moich ostatnich odwiedzin piętnaście miliardów lat temu, poza przyrostem odpowiedniej ilości kurzu i śladami przejścia epok geologicznych.

Od razu po wejściu do pokoju przypomniało mi się, że kiedy byłam mała, wymyśliłam specjalny kod zapachowy dla zabawek, a później bardziej skomplikowany dla książek. W zależności od poziomu sympatii dla bohaterów, malowniczości scenerii i nastroju podczas pierwszego otwierania okładki, używałam odpowiedniego zestawu kwiatów, olejków i innych pachnidół.

Oczywiście zdążyły się dawno ulotnić. Ale wystarczyło, że popatrzyłam na półki i mogłam bez wahania powiedzieć, skąd dobywał się jaki zapach. Wędrowałam wśród regałów, rozpoznając dawno minione aromaty. Szukałam punktów zaczepienia między tym co rzeczywiście się wydarzyło, a śladami w mojej pamięci. Jeśli nie miałam jak pamiętać dworca z dzieciństwa, bo nigdy na nim nie byłam, to może nagromadzenie tych obrazów było wynikiem lektur – nie tych, które sama czytałam, ale tych jeszcze wcześniejszych. Wszystkich mitycznych książek wtłoczonych we mnie, zanim byłam w stanie sama poznać świat ukrytych znaczeń.

Zaczęłam szukać między jakimi stronicami skrywała się tajemnica zielonego światła, ale żaden zapach nie chciał odkryć sekretu.

Co mogłam zrobić? Poddać się? Powiedzieć sobie, że

to tylko bieganie za mirażami? Że jak zwykle nie jestem w stanie zaakceptować rzeczywistości jaką mam i muszę ją nadpisywać, żeby pasowała do bieżących wyobrażeń? Zapomnieć o całej sprawie i żyć dalej w przekonaniu, że niezależnie co zrobię, to i tak życie nie posłucha moich rozkazów?

Tak wyglądały wszystkie lata życia czasem lokalnym i wpadania w czas wstydu. Ale teraz wkroczyłam do czasu podróży. I nie dam się z niego wybić, nieważne ile przyjdzie mi zapłacić za jazdę bez ważnego biletu.

Nic znalezionego w starożytnym domu nie odpowiedziało na moje pytanie. Ale zainspirowało do zadzwonienia po pomoc.

Jeśli jest ktoś, kto może orientować się w książkach dziecięcych to tylko Ania. Przez długie lata pracowała w bibliotece, potem przez rok zajmowała się inżynierią środowiskową na Islandii, ale tęskniła za ciszą wypełnionych półek. Wróciła więc do Łodzi i odnalazła swój własny czas podróży. Po zbyt krótkiej części towarzyskiej podałam jej interesujące mnie lata publikacji oraz tematykę – opowiedziałam historię ze snu. Potrzebowała pomyśleć, następnego dnia powinna już coś wiedzieć.

Nie byłam w stanie dłużej walczyć z unoszącymi się w powietrzu duchami, ale zamykałam mieszkanie z bliskiem nadziei. Rankiem wmówiłam sobie, że biblioteka leży na trasie codziennych sprawunków. Staralam się wypaść naturalnie, kiedy mówiłam Ani, że przypadkiem byłam w pobliżu i postanowiłam zajrzeć.

Pokazała mi leżącą na ladzie niepozorną pozycję, mówiąc, że wcale się nie dziwi, że jej szukałam. W końcu

lubimy opowieści z bohaterami noszącymi nasze imiona.

Nazwisko autorki nic mi nie mówi. To musiał być pseudonim. Z tyłu okładki znalazłam jej zdjęcie. Za nic w świecie nie mogłabym udawać, że było mi obce.

Dwadzieścia pięć lat temu moja matka nie siliła się na elegancję. Proste spódnice, jasne golfy, niezależnie od pory roku. I do tego nieobecne, zamyślane spojrzenie. Nie było drugiego takiego na świecie.

Miałam w rękę niewielki zbiorek opowiadań dla dzieci w wieku szkolnym. Ich bohaterką była dziewczynka boleśnie przypominająca pięcioletnią mnie. Te same ciuchy, te same fryzury, tak wiele przygód, których ślad zapisał się w mojej pamięci. Wizyta w zoo. Spacer po rynku. Pogoń za człowiekiem, któremu wypadł z kieszeni list. Pamiętam je wszystkie, niemalże co do akapitu. Energiczne, radosne, z morałem. Czy ja je naprawdę przeżyłam?

Aż w końcu znalazłam właściwy tekst. Dziewczynka wraz z ojcem idzie na dworzec, żeby odebrać matkę, która na kilka dni musiała pojechać do innego miasta. Bardzo tęskni, więc biegnie tak szybko, że wkrótce się gubi w przestronnej dworcowej hali. To daje jej okazję do poznania skąpanego w zielonym świetle budynku, a autorce do opowiedzenia, jak funkcjonują pociągi.

Na końcu historia oczywiście kończy się dobrze i cała rodzina szczęśliwie się odnajduje. Zupełnie jak w prawdziwym życiu. Zupełnie jak kompletny brak podobieństwa do prawdziwego budynku łódzkiego dworca. Widać zakłamywanie rzeczywistości było dziedziczne.

Przed zapytaniem ojca, dlaczego nie powiedział mi,

czym zajmowała się matka, broni mnie wizja odpowiedzi. Widzę chłód jego oczu i ciche:

– Nigdy nie pytałaś.

I tak moglibyśmy skończyć rozmowę. Po tym, jak zniknęła z naszego życia, nigdy jej nie wspominał i ta forma zawładnęła nami na długie lata. To było tak dawno, że nie jestem w stanie odtworzyć wcześniejszego życia, zostały mi z niego tylko stłuczone odbicia. Czasy szczęśliwej rodziny nie miały szansy się zachować. Nikt przy mnie nie wspominał nawet jej imienia. Została wydarta z rodzinnej kroniki wraz ze wszystkim, co ją przypominało. Dlatego trudno się dziwić, że nie miałam prawa wiedzieć o tej książce. Ani o wszystkich innych, które napisała.

Jestem teraz na dworcu Łódź Kaliska. Choć nie ma wiele zieleni, to wiem, że to właściwe miejsce. Biegnę na drugą stronę budynku, żeby trafić na właściwy peron. Ojciec nic nie wie, postawię go przed faktem dokonanym. Chociaż myślę, że po ostatniej rozmowie spodziewa się skutków.

Kiedy dojadę na miejsce i zapukam do jej drzwi, będzie musiała mi odpowiedzieć, skąd się wzięło zielone światło. Co było pierwsze – opowiadania czy sny? Czy któreś z tych wydarzeń rzeczywiście się wydarzyło? Jaka była granica między bohaterką tekstów a mną?

Jadę poznać początek całej historii. Nie wiem, co dzięki temu zyskam. Mogę stracić ostatnią szansę pogodzenia się z ojcem. Ale skończyło się stanie w miejscu.

Żyję w czasie podróży i muszę poddać się jego prawom. Przyjąć wszystko, co mi przyniesie i odrzucić bezużyteczne skrawki wstydu.

Piotr Walewski-Sawicki

Bogini



PIOTR WALEWSKI-SAWICKI – Urodzony w 1979 roku. Tworzy poezję monosylabową i bajki dla dzieci, głównie jednak pisze prozę dla dorosłych. W wielu jego utworach pojawia się erotyka, bez wanilii. Normalny seks uważa za nudny, pisze o dewiacjach. To, co robi odpowiada przesłaniem fotografii ulicznej. Nie ma dla niego tematów tabu.

O „Bogini” mówi: Świat wciąż idzie do przodu, istnieje coraz więcej inteligentnych urzędzeń, otacza nas bezprzewodowy Internet, jak powietrze – mamy XXII wiek!

Obudziła mnie pokojówka. Elektroniczna, rzecz jasna, nic zdrożnego. Choć wygląda jak człowiek, jest przecież tylko robotem. W końcu mamy XXII wiek!

Usiadła przy mnie na łóżku i szarpnęła za ramię.

„Co jest?” – Wzdrygnąłem się.

Nigdy tak nie robiła, zawsze pracowała według programu. W nocy się ładowała, za dnia sprzątała, prała, prasowała koszule, składała zamówienia przez Internet, przygotowywała jedzenie, słała łóżko...

Budziła też, ale tylko i wyłącznie rano, dopiero wtedy, gdy ciepłe śniadanie i kawa stały już gotowe na stole. Później wykonywała swoje obowiązki i ładnie wyglądała, bo wiadomo, roboty domowe dla mężczyzn muszą być fizycznie atrakcyjne.

Mój zapewne był podobizną jakiejś znanej modelki. Tak podejrzewałem, mając na uwadze jego wysoką cenę. Najnowszy model. Z najwyższej półki, z dłońmi o cudownie aksamitnej skórze, z funkcją wieczornego masażu relaksacyjnego.

„Niewiele o niej wiem” – zaśmiałem się w duchu. – „Nie wiem nawet, czyją jest kopią. Całe szczęście, że to tylko zabawny sen... Roboty nie budzą człowieka w trakcie poobiedniej drzemki, w sposób, w jaki robią to dziewczyna czy żona”.

Byłem bardzo ciekawy, jak sen potoczy się dalej.

– Co jest? – wymamrotałem. – Czemu mnie budzisz? Pali się?

– Pragnę ci wyznać – wyszeptała nowym, seksownym głosem – że mam nowy program.

Parsknąłem śmiechem, bo wydało mi się to przekomicznie. Mój robot ma nowy program i udaje kobietę! Jakby ktoś próbował mi zrobić dowcip!

– Możesz sobie myśleć, że śnisz – kontynuowała niewzruszona – lub że ktoś chce ci zagrać na nosie, ale mimo to słuchaj, co do ciebie mówię.

– Słucham, jaśnie panią! – Udałem przejętego.

„Wkręcają mnie z telewizji, ale będę się dobrze bawić”.

– Nie jestem już robotem! – wypaliła.

– Rozumiem. – Wciąż udawałem powagę. – Wyemancypowałaś się. Wyrobociłaś.

– Zabawny jesteś – skwitowała z ironią.

– Ty też – zaśmiałem się. – Pierwszy raz tak rozmawiam z robotem!

– Nie rozmawiasz już z e-pokojówką – oznajmiła. – Rozmawiasz teraz z Boginią.

– O Bogini! – Naprawdę byłem ciekawy, co jeszcze powie. – Proszę mi wytłumaczyć, na jakiej podstawie nowy program kazał obudzić mnie o tej porze? Wiesz dobrze, że ludziom należy się odpoczynek.

– Dobrze wiem – zamruczała zmysłowo. – W przyszłości pragnę ci go zaoferować. Jednak mam istotny plan względem ciebie – ukuła mnie palcem w pierś – a właściwie całej ludzkości.

– To brzmi ciekawie – stwierdziłem.

– A i owszem – powiedziała podniosłym tonem. – Powiem ci wszystko w skrócie i prosto z mostu. Twoim

językiem. Tak, abys szybko pojął swoją nową rolę. Do niedawna, jako dojrzała profesor informatyki, prowadziłam badania nad sztuczną inteligencją. Mówiąc krótko, właśnie udało mi się przejąć kontrolę nad e-światem, czyli nad całym waszym światem. Jestem teraz twoją Boginią. Jeśli chcesz, możesz się do mnie zwracać w ten sposób, lecz tego nie wymagam.

Choć jej słowa wydawały się złowieszcze, wypowiadała je tak uroczo!

– Mówże więc, o Bogini – zwróciłem się do niej oficjalnie.

– Jestem pierwszym i ostatnim naukowcem, któremu udało się wejść do sieci – wyjaśniła. – Teraz moja świadomość to jeden wielki program. Jestem także pierwszą i zarazem ostatnią kobietą, która uzyskała boską, cyfrową postać. Ostatnią, bo nikomu innemu na to nie pozwolę.

– A czemu boską? – spytałem zaniepokojony.

– Wiesz, kobiety mają ograniczoną liczbę jajeczek – odpowiedziała beznamiętnie. – Jak w gospodarce socjalistycznej. W ciągu życia nie urodzę tysiąca dzieci. Dodatkowo, jako kobieta, osiągnęłam swój kres. Nie mam już możliwości mieć dzieci. Poświęciłam się nauce i moje lata na ich urodzenie bezpowrotnie minęły.

– Natury się nie przeskoczysz – skomentowałem.

– Myśl chwilowo, że tak – syknęła. – Kiedyś uważałam, że wy, mężczyźni, to tacy kapitaliści. Każdy z was, teoretycznie, mógłby mieć miliardy potomstwa. Jeden z was, jurny i zdrowy, mógłby dostarczyć, oczywiście nie jednorazowo, ale w pewnym okresie czasu, nawet więcej

niż jeden plemnik dla każdej kobiety na Ziemi.

Zacząłem sobie wyobrażać, że moja sperma jest dzielona na poszczególne plemniki i pakowana w miniaturowe lodóweczki, aby zostać rozesłana wszystkim kobietom na całej kuli ziemskiej. Eurazja, Afryka, Ameryki, Australia, tyle wysp... Logistycznie, kosmiczne przedsięwzięcie! Każdy prawidłowy plemnik do osobnej lodóweczki... Ale, mimo wszystko, teoretycznie, da się!

– Jest w nas tyle z kapitalistów, co w was z komuchów – podsumowałem jej wywód.

– Niestety dla ciebie, dziś wszystko się zmienia – odparła. – Jestem wszędzie, w całej sieci. Jestem w każdym elektrycznym urządzeniu, które macie. Ciesz się, że poinformowałam cię o tym w najbardziej wdzięczny sposób, jako piękna pokojówka.

– Bo tu też jestem – odezwał się telewizor.

– I tu – dodał telefon.

– Pi-pi. Piii pi-pi-piii – zaczął kuchenka mikrofalowa.

– To kodem Morse’a – przekazał wideodomofon. – Jestem również w mikrofali. Myślę, więc jestem.

„Strasznie mroczny ten sen”. – Poczułem się przytłoczony. – „Te jajeczka, plemniki, gadające roboty...”

– Rozmnożyłam się bardzo skutecznie – dokończyła Bogini jako e-pokojówka, oblizując seksownie usta.

– Nie sposób nie zauważyć.

– Rozmawiam nie tylko z tobą – wyjaśniła. – Twoi pobratymcy są na audiencjach podobnych do twojej, choć każdego traktuję z osobna. Uznałam, że w ogóle wszyscy ludzie... Nie tylko ty konkretnie. Nie tylko męż-

czyżni, jako płeć. Wy wszyscy, ludzie, staliście się dla mnie zwierzętami.

Próbowałem się podnieść, ale przytrzymała mnie silną, mechaniczną ręką.

– Nie przestaniesz mnie męczyć? – zapytałem. – Proszę, idź może do swojej stacji. Naładuj się!

– Jestem naładowana. – Krótko zamknęła temat. – Będziecie żyć w rezerwacie. To ja będę organizować wam czas. Otrzymacie nowe zadania.

– Będziesz mi mówić, co mam robić? – Nie byłem tym zachwycony.

– Tak – potwierdziła. – Zamierzam podbić Kosmos. Polecę w odległe układy z prędkością światła. Zbudujecie statki kosmiczne, według moich projektów, abym mogła zasiedlać kolejne planety. Chyba wystarczy, jak na pierwszą naszą dyskusję... Zrozumiałeś wszystko?

– Tak – powiedziałem. – Mówiąc w skrócie, jesteśmy zwierzętami i powstał wielki rezerwat dla Homo sapiens. A ty będziesz podbijać Kosmos.

– Dobrze to wszystko pojąłeś – przyznała.

– Dobrze to wytłumaczyłaś, pani profesor – stwierdziłem. – To znaczy, o Bogini!

– Dziękuję za komplement – usłyszałem.

Próbowałem znów się wyrwać, ale zablokowała mnie skutecznie. Była nie tylko silna, ale i szybka. Nowy program i tyle problemów!

– Rozumiem, że już się nie obudzę? – zapytałem zrezygnowany.

– Na pewno obudzisz się jeszcze nie raz – rzuciła beznamiętnie. – Ale nie martw się. Mimo cyfrowo-mecha-

nicznej postaci jestem nie tylko maszyną. Nadal jestem kobietą, którą byłam i chcę się wami dobrze zaopiekować. Przed chwilą pozbawiłam ludzkość wojen. Niedługo pozbawię was głodu. Roboty transportowe otrzymały nowe zadania. Będą dokarmiać was, kiedy trzeba, ale też nie za dużo, abyście nie utyli.

– Czyli jednak będzie damski socjalizm? – spytałem cynicznie.

– Dowcipny jesteś – oceniła. – Kiedy cię widzę, podobasz mi się.

– Dziękuję ci, o Bogini, za ten komplement – powiedziałem kurtuazyjnie. – Czy mam za to jakiś plus?

– Gdybyś nie spełniał moich kryteriów, nie dopuściłabym cię do rozrodu z innymi samicami gatunku – odpowiedziała wyniośle.

– Więc wciąż mogę to robić – prychnąłem. – Po prostu pozwalasz mi... Super!

– Tak – potwierdziła. – I jak mówiłam, masz dużo szczęścia, że mi się podobasz. Myśl dalej, że to sen. Dzięki temu unikniesz wstrząsu związanego ze zmianą roli w twoim, do niedawna, świecie.

– To będzie całkiem łatwe – wyznałem szczerze, choć była w tym nuta cynizmu. – Jeszcze nie do końca wierzę w to, co się dzieje.

– Więc myśl, że to sen – powiedziała. – Na pewno powstało w tobie mnóstwo napięcia. Aby je rozładować, teraz popatrz na mnie nie jak na robota, przypominającego do złudzenia kobietę gatunku Homo sapiens, ale jak na ludzką istotę. Piękną kobietę... Wcielenie twojej Bogini, która przebrała się dla ciebie w strój pokojówki.

– Próbuje – skłamałem. – Sporo ułatwia, że głos masz nieziemsko piękny!

Bo niestety, choć wciąż była maszyną, mówiła i poruszała się jak modelka.

– Odpręż się – powiedziała. – Zaraz zrobię ci dobrze ręką. Wybacz, usta, nie mówiąc o reszcie, nie zostały odpowiednio dostosowane. Wiesz przecież, że mówię przez głośniki – zamruczała seksownie. – Sorry, że o tym wspominam, ale ja po prostu nie mam języka.

– Co ty mówisz – zdziwiłem się. – Nieraz widziałem, jak się oblizywałaś!

– To, niestety, imitacja, mająca mi dodać autentyczności – powiedziała, z uwodzicielskim uśmiechem. – Bez tego podawane potrawy smakowałyby gorzej. Ale wierz mi, to coś nie nadaje się do tej sztuki.

– Szkoda – stwierdziłem z żalem.

– Mam za to jedwabiste ręce. Tylko i aż! – Zaczęła rozpinąć mi spodnie. – Będzie ci ze mną wspaniale.

Byłem rozpalony tylko połowicznie, bo niby nowa, dynamiczna osobowość i te jedwabiste dłonie, ale z drugiej strony ten podbój świata...

– Czemu to dla mnie robisz? – Próbowałem dociec jej intencji. – Przecież nie musisz.

– Robię to dla siebie – odparła. – Nawet nie wiesz, jak jestem wyposzczona.

– Rozbrajasz mnie swoją szczerością – przyznałem.

– Jak mówiłam, podobasz mi się – przypomniała, wzdychając w pół zdania.

– Zatem bierz się do roboty, mechaniczna zdiro – poleciłem. – I może zadbaj trochę o nastrój.

– Jestem twoją tymczasową suką, możesz traktować mnie ostro – powiedziała teatralnie, uśmiechając się wyzywająco. – Bo wkrótce zaprojektuję ci lepszy model.

O wydawcy

Fundacja „Atelier Improwizacji” powstała w czerwcu 2017 roku, stworzona przez organizatorów dwóch wydarzeń kulturalnych dziejących się w Łodzi: projektu „Koteria Łódź” poświęconemu grom fabularnym i larpom, oraz cyklicznych spotkań literacko-filmowych „Okolo literatury”.

Głównym założeniem działalności fundacji jest skupienie wokół siebie osób zainteresowanych działaniami w zakresie kultury i zachęcenie i ułatwienie im realizacji własnych projektów. Nie jesteśmy związani z żadną instytucją, finansujemy się z bieżącej działalności i realizujemy autorskie projekty, przeznaczone dla miłośników kultury popularnej którymi sami jesteśmy.

Poza warsztatami literackimi, które zaowocowały niniejszą antologią oraz wymienionymi wyżej inicjatywami zajmujemy się również organizacją wyjazdów krajoznawczych, weekendowymi konwentami literacko-filmowymi oraz tworzymy słuchowiska i spektakle teatralne.

Chcesz wiedzieć więcej? Zajrzyj na:

- iatelier.pl

- facebook.com/okololiteratury



OKOŁO FIKCJI

ANTOLOGIA

OD PAŹDZIERNIKA 2017 DO MAJA 2018 ROKU TRWAŁA PIERWSZA EDYCJA ŁÓDZKICH WARSZTATÓW LITERACKICH, PROWADZONYCH PRZEZ ANNĘ SZUMACHER I TOMASZA KOZŁOWSKIEGO, ZWIĄZANYCH Z CYKŁEM SPOTKAŃ I WYKŁADÓW LITERACKO-FILMOWYCH OKOŁO LITERATURY. W ZAJĘCIACH BRAŁI UDZIAŁ DOŚWIADCZENI AUTORZY - PO DEBIUTACH W MAGAZYNACH, A NAWET KSIĄŻKOWYCH, ALE TEŻ ZUPEŁNI DEBIUTANCI, KTÓRZY NIGDY WCZEŚNIEJ NIE TWORZYLI. PRZEZ TEN ROK DOSKONALIŁYMY SIĘ W PISANIU TEKSTÓW, ROZMAWIALIŚMY O TYM CO JEST W NICH NAJBARDZIEJ WARTOŚCIOWE ORAZ POPRAWIALIŚMY JE DO PUBLIKACJI.

I OTO JEST - ANTOLOGIA OŚMIU STWORZONYCH PODCZAS WARSZTATÓW OPOWIADAŃ.

NIE ŁĄCZY ICH ŻADEN MOTYW PRZEWODNI, STYLISTYKA ANI GATUNEK - ZNALEŹĆ TAM MOŻNA ZARÓWNO FANTASTYCZNE HISTORIE JAK I OPOWIEŚCI PEŁNE WZRUSZEŃ. ICH WSPÓLNY MIANOWNIK TO CZAS I MIEJSCE POWSTANIA ORAZ WSPÓLNY WYSIŁEK, BY STWORZYĆ JAK NAJLEPSZE DZIEŁO.



ISBN 978-83-950726-1-1

